

Sulimir Stanisław Żuk



SKRAWEK PIEKŁA NA PODOLU
HUTA PIENIACKA - HUCISKO BRODZKIE



Sulimir Stanisław Żuk

SKRAWEK PIEKŁA NA PODOLU
HUTA PIENIACKA-HUCISKO BRODZKIE

*zdażyło się w ubiegłym wieku.
Ale dla mnie to było jakby wczoraj.
Wydarzenia te wbiły się w moją pamięć jak rozpalone żelazo
i na zawsze zmieniły losy moje i mojej rodziny.*

Okladka:

1. *Panorama jeziora pomiędzy Ponikwą a Wołochami i panorama gór Woroniaków.
Po lewej widoczna odbudowana cerkiew grecko-katolicka.
Po prawej niewidoczne ruiny kościoła rzymsko-katolickiego i pałacu hr. Bocheńskich zburzonego w czasach sowieckiej władzy.*
2. *Twierdza w Kamieńcu Podolskim.*

Wydanie drugie poszerzone i uzupełnione

Wydano nakładem autora

Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-924746-0-9

Warszawa 2007

Drukarnia ASD - tel. 022 618 38 21, fax 022 670 00 31
tel. kom. 0 502 366 271
www.drukarnia-asd.pl
e-mail: wyceny@drukarnia-asd.pl

Słowo wstępne

Czytelniku Drogi biorąc do ręki książkę Sulimira Stanisława Żuka wspomnij swoje powroty do domu ze stacji w mieście, z internatu, wojska czy z akademika. Przypomnij sobie ten ostatni kawałek drogi, ten ostatni kilometr, kiedy już błysnęło światelko okna rodzinnego domu z oczekującymi tam kochanymi rodzicami a serce zabiło Ci szybciej.

Otóż tę książkę my, wtedy dzieci ocaleni z ludobójstwa na Podolu II R.P. zgotowanego nam przez bandy UPA zwane Ukraińską Powstańczą Armią, poświęcamy pamięci naszych rówieśników dwóm synom nauczyciela we wsi Jasionów¹⁾ pow. Brody.

Bracia wracali ze stacji kolejowej w Brodach, z pociągu ze Lwowa, gdzie uczyli się w gimnazjum i mieszkali na stacji. Starszy był w wieku lat 16, młodszy miał lat 14, kiedy byli już nie daleko wioski, skrycie zostali napadnięci przez bandytów z UPA i zamordowani. Zginęli tylko dlatego, że byli polskimi dziećmi. Bandy UPA przy wsparciu części miejscowych Ukraińców do nie dawna jeszcze zwanych Rusinami rozpoczęli czystkę etniczną na Podolu. Mordowano przede wszystkim Polaków i Żydów przy wsparciu niemieckiego okupanta.

Myśląc o tamtych okrutnych latach zastanawiamy się z Autorem, co stało się z dziewczynką

¹⁾ Siedziba gminy

z Czernicy która wciśnięta pod łóżko widziała jak siłą wepchnięto nóż do ręki jej matki i zmuszono biciem do poderżnięcia gardła jej ojcu i bratu. Następnie matka uznana za zdrajczynię też została zakłuta na śmierć tylko dla tego że wyszła za Polaka. Jak potoczyły się losy piętnastoletniego Michała, na oczach którego poderżnięto gardła jego ojcu, matce i bratu, obrabowano i spalono gospodarstwo. Jak takie dzieci mogły wejść w dorosłe życie z tak okrutnymi wspomnieniami?

Faszystowskie zasady UPA nakazywały: aby zostać ich członkiem należy zabić Polaka. Jeśli ktoś wcielany do tej organizacji nie wykonał takiego zadania był karany śmiercią. Jeśli kandydat miał żonę Polkę musiał ją zamordować własnoręcznie. Jeśli tego nie uczynił ponosił śmierć jako zdrajca. W mojej pamięci istnieją okrutne obrazy z lat dziecinnych których nigdy się nie pozbędę. Pamiętam rozpacz moich rodziców kiedy mój młodszy braciszek Tadzio zginął od kuli ukraińskiego bandyty a ojciec Tomasz został ciężko ranny.

Moja śp. Matka z/d Anna Olszańska /1913-2002/ powtarzała często „dzięki Bogu, że Tadzio 1,5 roczny synek zginął od kuli a nie w męczarniach od noży czy siekiery”.

Dr A. Korman historyk, który przez całe życie pracował nad zbieraniem dowodów ludobójstwa popełnianego przez UPA przywołuje ponad trzysta sposobów tortur nakazywanych przez instrukcje i regulaminy band UPA²⁾.

²⁾ A. Korman „stosunek UPA do Polaków na ziemiach południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej” Wydawnictwo NORTOM Wrocław 2002, str.101.

W ataku na WTO w Nowym Yorku, w 2001 roku zginęło 2747 osób. Ofiarom tym poświęca się pamięć w Polsce i w wielu krajach, na wszystkich kontynentach. Drogi Czytelniku o co najmniej pięćdziesięciokrotnie większej ilości ofiar, które często męczono przed skonaniem, w tym około dwu tysiącach polskich dzieci i ponad stu księżach katolickich trwa jakieś dziwne solidarne milczenie na całym świecie.

Spółeczność międzynarodowa nigdy nie potępiła zbrodni ludobójstwa popełnionych przez UPA. To tak jakby je usprawiedliwiała. Nie jest mi znany jakikolwiek proces prowadzony w wolnej Ukrainie o ukaranie zbrodniarzy UPA. Wręcz odwrotnie coraz bardziej słyszy się żądania o uznanie zbrodniarzy UPA za kombatanatów i przyznania im odpowiednich przywilejów. Polska jednak niepodległość Ukrainy i pomarańczową rewolucję skwapliwie poparła bez żadnych warunków. Nie jest mi wiadome aby nasz IPN wytoczył jakiegokolwiek śledztwo o morderstwa popełnione przez zbrodniczą organizację UPA na Polakach. Pomimo posiadania w tej sprawie wielu dowodów. Ludobójstwo według terminu utworzonego przez polskiego prawnika R. Lemkina zostało uchwalone konwencją Zgromadzenia ONZ w roku 1948. Konwencja ta weszła w życie w roku 1951. Ludobójstwo nie ulega przedawnieniu.

Pamiętajmy że zbrodnie nie potępione i nie ukarane się powtarzają. Historia zna wiele takich przykładów.

W Nowym Yorku stoi pomnik S. Bandery szefa OUN – Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, która głosiła terror i doprowadziła do makabrycznego ludobójstwa Polaków przez UPA na polskich kresach.

W Buffalo USA znajduje się inny pomnik ukraińskiego faszysty R. Szuchowycza zajądłego kontynuatora dzieła S. Bandery. Były natomiast już głosy nawet w „Washington Post” aby rozebrać pomnik jednego z największych poetów ukraińskich T. Szewczenki w Waszyngtonie.

Oto jeden z wierszy T. Szewczenki:³⁾

Hajdamacy

*Machniemy nożem
I dzieci nie ma.
Padły zabite z podciętym gardłem.
Czy ich pochować?
To jest niekonieczne
One są katolikami...*

Żaden z poetów cywilizowanego świata nie odważył by się na tak ponure wezwanie do okrutnego morderstwa dzieci. Być może dzieci i młodzież rusińska w sąsiednich nam wioskach i domach, gdzie Rusini zaczęli już nazywać siebie Ukraińcami czytały i uczyły się takiej poezji.

W Republice Czeskiej w czasie II wojny światowej zlikwidowano wioskę Lidice. Zrobili to faszyci niemieccy w odwecie za pomoc udzieloną zamachowcom, którzy dokonali zamachu na zastępcę protektora Czech i Moraw M. Heydricha. Mężczyzn powyżej lat 16 rozstrzelano, kobiety i dzieci wywieziono do Niemiec, wszystkie zabudowania spalono. Teraz w Lidicach znajduje się okazałe muzeum dokumentujące zbrodnie faszyzmu niemieckiego.

³⁾ Wolny przekład

O Lidicach wiedzą dorośli Czesi i Słowacy, dzieci w czeskich szkołach uczą się o zagładzie wsi Lidice. O francuskim Oradour-Sur-Glane gdzie oddziały SS Das Reich wymordowały wszystkich mieszkańców /642 osoby/ i spaliły zabudowania wie cały świat. Traktuje się to jako symbol okrucieństwa drugiej wojny światowej.

Ailu ludzi w Polsce zna prawdę o Hucie Pieniackiej, o zagładzie zaścianka szlacheckiego Hucisko Brodzkie? Tak tę wieś nazywa nasz wielki parafianin prof. O. Józef Maria hr. Bocheński /1902-1995/. Prof. Bocheński wiedział, że groby jego rodziców w krypcie kościoła, w Ponikwie zostały sprofanowane, dlatego postawił im pomnik we wiosce Botterens koło Fryburga /Szwajcaria/, gdzie był dziekanem i rektorem uniwersytetu. Tam przygotował naukowe podwaliny pod zrozumienie bolszewizmu i faszyzmu, był też doradcą kanclerza Adenaura.

Czytelniku Drogi ta kolejna książka Sulimira Stanisława Żuka i rapsod żałobny autora kilku książek o Kresach Edwarda Grossa na końcu tej książki to nasze nieodłączne wspomnienia z dzieciństwa, z tej samej parafii Ponikwa, pow. Brody. Naszym zdaniem trzeba powtarzać za K. Norwidem: **„Kłaniamy się okolicznościom a prawdom każemy, by za drzwiami stały”**. Zatem poznajmy fakty i prawdy bandyckiego terroru band UPA, nad polskimi dziećmi i polską ludnością Kresów Południowo Wschodnich II R.P.

Kiedy pod koniec II w.ś. uciekaliśmy z naszych domów, dorośli mówili „wyjeżdżamy na Zachód na Ziemię Odzyskane, ale tylko na rok dwa, aż się uspokoi wojna”.

Opis Podola II RP oddają wspomnienia Podolanki – żony poety Jana Jonsona, który opisał je w swoich wierszach:

*Gdzie podolskie są równiny
Przebogate w pszenny chleb,
Tam kresowa Ikwa płynie
Pośród urodzajnych gleb
Tam zostało serce moje
Człowiek tam by wrócił rad.....
Były tam otwarte domu podwoje,
Czarem wabił duży sad.*

Czytając tę książkę nie sposób, nie zastanowić się kto dawał administracyjną zgodę na stawianie pomników bandom UPA na ziemi Trzeciej Rzeczypospolitej Polskiej. Ilu z tej ludobójczej formacji, czy ideologii przeniknęło do władzy naszej Najjaśniejszej?

*Jan Michalewski h. Korczak syn Tomasza
urodzony w Hucisku Brodzkim
w roku 1938.*

Ojczyzna Wolna

Wszystkie narody, wszystkie kraje mają swoje kresy. Nieszczęśliwy i zmienny jest los grodów i siół kresowych. (...) Gdy chmura się zbierze, ostry grad siecze przede wszystkim właśnie ziem kresowych lany. Gdy grmią pioruny, przede wszystkim tu w wieżycy i domy uderzają.

Józef Piłsudski⁴⁾

Słońce wolności zaświeciło nad Wisłą. Polska powróciła na mapę Europy. Marszałek Józef Piłsudski organizował polską armię. Młody żołnierz, członek Polskiej Organizacji Wojskowej w Warszawie, wstąpił do armii jako ochotnik. W obronie ojczyzny przed bolszewicką nawałą przemaszerował przez ziemię mazowiecką, lubelską, lwowską i znalazł się na ziemi podolskiej. Nieprzeparty urok tej krainy sprawiał na nim ogromne wrażenie. Poznał tam piękną dziewczynę. Zakochał się w dziewczynie i w urzekającym Podolu.

Wychowany na patriotycznych tradycjach powstań niepodległościowych, walczył w armii generała Rydza Śmigłego, nie szczędząc sił ani krwi w marszu na Kijów. Była to walka nie tylko o ojczyznę, ale również o wolność ludu zamieszkującego te ziemie. Zgodnie z umową zawartą z atamanem Petlurą, zajęty przez armię polską Kijów oddany został pod władzę

⁴⁾ Wstęp do przewodnika Tadeusza Łopalewskiego, *Między Niemnem a Dźwiną. Ziemia Wileńska i Nowogrodzka*, PWN, Warszawa-Kraków 1990 (reprint wydania przedwojennego).

Ukraińcom i miał być stolicą niepodległego państwa ukraińskiego, przyjaznego odrodzonej Polsce.

W jednej z bitew stoczonych z bolszewikami padło dwóch podwładnych naszego żołnierza podczas morderczego ataku wroga na gniazdo karabinu maszynowego, z którego strzelali. Żołnierz rzucił się do karabinu, zdecydowany walczyć do końca. Po kilku seriach nieprzyjacielska kula „dum-dum” trafiła go w prawe ramię. Roztrzaskana łopatką, obojczyk i dwa żebra pozbawiły żołnierza przytomności. Bolszewicy zajęli teren bitwy. Zbierano rannych i zabitych. Nie cackano się z polskimi żołnierzami, martwych wrzucano do wykopanego dołu. Naszego żołnierza bolszewik nadział bagnetem pod biodro i wepchnął do dołu. Na drugi dzień przed zasypaniem, zabitych oglądał jeszcze lekarz Niemiec.

— Ten jeszcze żyje — wskazał na naszego żołnierza. Wyciągnięto go z dołu i zawieziono do lazaretu.

Tym rannym żołnierzem był Stanisław Żuk, mój ojciec.

Po kilku dniach Polacy odbili lazaret. Rannych przewieziono etapami do Warszawy. Można sobie wyobrazić, jak wyglądał wtedy taki transport w warunkach wojennych. Pamiętam blizny, jakie ojciec miał na klatce piersiowej i biodrze. Wejście kuli znaczyła maleńka blizna, ale wyjście to była rana wielkości talerza. Długotrwałe leczenie nie przywróciło władzy w prawej ręce, pozostała bezwładna do końca życia.

Po powrocie do domu okazało się, że dziadek Piotr, ojciec mojego ojca, wrócił z armii rosyjskiej, do której go wzięto po wybuchu pierwszej wojny

światowej (był to przecież zabór rosyjski). Jednak wskutek ran odniesionych na froncie rosyjsko-niemieckim niedługo potem zmarł. Dwóch braci ojca, starszy Piotr (był taki zwyczaj, że najstarszy syn dostawał imię po ojcu), który studiował w Wilnie, i młodszy Józef, też ochotnik Wojska Polskiego, nie dawali znaku życia. Dopiero wiele lat po drugiej światowej wojnie dowiedziałem się, że obaj zostali rozstrzelani w Moskwie.

Stanisław leżał w szpitalu prawie dwa lata, przeszedł szereg ciężkich operacji. Matka i siostra Weronika nie miały z czego żyć. Prowadzona przez dziadka przed wojną, doskonale prosperująca wytwórnia bryczek i karet stała bezczynna. Do domu powoli zakradała się bieda, wyprzedawano po kolei cały majątek; na pierwszy ogień poszły dwie kamienice przy ul. Św. Wincentego. Powojenne czasy były trudne, jednak ojciec po dojściu do zdrowia znalazł dobrą pracę i stopniowo się usamodzielniał.

Miłość do pięknej dziewczyny i czarownego Podola przetrwała. Pomimo rozlicznych trudności rodzice moi się pobrali i w 1930 roku przyszedłem na świat w wolnej ojczyźnie. Ale mój szczęśliwy świat skończył się pierwszego września 1939 roku. Sądzono mi było przeżyć czasy straszne, sowiecką i niemiecką okupację oraz ukraińskie ludobójstwo. Los nie zaoszczędził mi też Powstania Warszawskiego.

Wszystko, co opowiem na stronach tej książki, zdarzyło się za czasów mego dzieciństwa w ubiegłym wieku. Ale dla mnie to było jakby wczoraj. Wydarzenia te wbiły się w moją pamięć jak rozpalone żelazo i na zawsze zmieniły losy moje i mojej rodziny.

Urszulin

Po dwóch latach leczenia i wielu operacjach ojciec pojechał na swoje ukochane Podole. Do przepięknej krainy prastarych borów, miodnych łąk kwiecistych i rzek srebrzystych, tam „gdzie po dolinach moja Ikwa płynie” – jak pisał Juliusz Słowacki. Podole to nasze południowo-wschodnie kresy, najpiękniejsza i – moim zdaniem – najbogatsza w uroki przyrody kraina świata. Nigdzie nie ma tak pięknych, przyjaznych człowiekowi gór i lasów, bogatych w runo leśne, maliny, poziomki, grzyby. Tak usłanych kolorowym kwieciami, upojnie pachnących łąk. Nigdzie wiosna nie jest tak świeża, intensywnie nasycona zapachem ziemi, wonią kwiatów, nie rozbrzmiewa takimi koncertami ptaków. Nigdzie wielokrotna tęcza po burzy nie jest tak wyraziście kolorowa. A słońce w lipcu, po ulewnym ciepłym deszczu, czy gdziekolwiek indziej grzeje tak ciepło i kojąco? Czy gdzieś jeszcze ziemia daje tak obfite plony?

Do Warszawy wrócili już we dwoje: Stanisław i Urszula, z domu Kierepka. Mama pochodziła z założonej przez króla Jana III Sobieskiego polskiej wsi Huta Pieniacka w powiecie brodzkim, wchodzącym w skład województwa tarnopolskiego. Dziadek Wincenty Kierepka też urodził się w Hucie Pieniackiej, natomiast babcia Urszula, z domu Nesel, pochodziła z Wiednia. Znała język niemiecki, lecz nigdy nie przyznawała się do swego pochodzenia. Niedaleko Huty Pieniackiej leżała wieś o nazwie

Huta Szklana. W tamtejszej hucie szkła pracował dziadek jako majster. Poza tym dziadkowie mieli dobrze prosperujące gospodarstwo.

Ze szczątkowych przekazów, jakie do mnie dotarły (kiedyś się wszystkiego dzieciom nie opowiadało), wiem, że dziadkowie bardzo negatywnie zapatrywali się na małżeństwo córki z niepełnosprawnym warszawiakiem. Przez wiele lat tata musiał pracować na akceptację i uznanie dziadków. Pytań było wiele, a nie na wszystkie można było dać pozytywną odpowiedź.

— Kto to jest?

— Z jakiej rodziny?

— Jaki ma majątek?

— Przecież to jest inwalida, kaleka, jaką będziesz miała przyszłość z takim człowiekiem?

I tak dalej, i tak dalej. Jak zwykle w podobnych przypadkach, nie pomogły żadne tłumaczenia, przekonywania i perswazje. Dziadkowie musieli skapitulować. Postawili jednak warunek:

— Jeśli chcesz wyjść za niego i macie żyć razem, to tylko tutaj, koło nas, a nie gdzieś tam w jakiejś Warszawie. Dostaniecie od nas kawałek ziemi, trochę pieniędzy, pobudujecie dom, gospodarstwo i tu będziecie żyć.

Tak też się stało. Ojciec zaraz dokupił od sąsiada spory kawałek ziemi i rozpoczął budowę domu oraz organizowanie gospodarstwa. Znajdowało się ono w Wołochach koło Ponikwy, w pobliżu Huty Pieniackiej, a także źródeł Bugu koło Werchobuża. Niedaleko stąd było do zapierających dech wspaniałością pałacu i zgromadzonych w nim zbiorów Podhorców,

zwanych Wawelem wschodu, do zamku w Olesku, gdzie urodzili się królowie Jan III Sobieski i Michał Korybut Wiśniowiecki, czy zespołów klasztornych – katolickiego O. Dominikanów w Podkamieniu i prawosławnego w Poczajowie.

Żeby się dostać do miejsca, gdzie znajdowała się nasza siedziba, trzeba było, jadąc od Lwowa, dwanaście kilometrów przed Brodami skręcić w prawo na Ponikwę. Po niespełna kilometrze wjeżdżaliśmy na groblę i przed nami ukazywało się jezioro, a po jego drugiej stronie leżąca na amfiteatralnym skłonie Ponikwa z błyszczącą kopułą cerkwi greckokatolickiej. Przed jeziorem, po lewej stronie były hodowlane stawy rybne hrabiego Bocheńskiego, ojca słynnych braci: Józefa Marii (o. Innocentego), Aleksandra i Adolfa Marii. Za stawami znajdowały się plantacje chmielu, dalej browar z zabudowaniami. Wysokiej jakości o przednim smaku piwo „Ponikwa” było znane nie tylko w okolicy. Jadąc dalej po grobli, z prawej strony można było zobaczyć śluzę, przez którą spływa woda z jeziora. Jezioro napełniała woda z rzeczki o tej samej nazwie co wieś – Ponikwa, będącej początkiem Styru, do której za Wołochami dochodziły nasze łąki.

Jadąc wzdłuż rzeki, po prawej zostawiało się w moich czasach majestatyczny pałac Bocheńskich i dalej przejeżdżało się koło okazałego, bogato zdobionego kościoła katolickiego pod wezwaniem św. Józefa Oblubieńca Marii Panny. Proboszczem parafii był przed wojną ksiądz prałat Antoni Reczuch, pochodzący z Sokolnik koło Lwowa.

Dalej za kościołem, w kierunku na Podkamień, jechało się przez Wołochy, wieś liczącą ponad sto

dymów, zasobną i dobrze zorganizowaną. We wsi były dwa sklepy i karczma, należące do rodzin żydowskich, i dwa warsztaty kowalskie. Tamtejszy kowal potrafił nie tylko konie podkuć, ale również wykonać ozdobne okucia do wozów i bryczek. Umiał też zrobić piękne stalowe ogrodzenie, bramę, drzwi, a jak było trzeba, to zegar i maszynę do szycia naprawić. W Wołochach znajdowała się też wytwórniadachówek cementowych. Poza tym mieszkano tu kilku stolarzy wytwarzających wszystko, co da się zrobić z drewna, był warsztat stelmachowski, warsztat blacharski, a także tłocznia oleju, kilku krawców, szewców, cieśli budowniczych i wielu innych zdolnych rzemieślników. Kilka rodzin trudniło się tkactwem, wyrabiano płótno lniane oraz grubsze płótno konopne. Jedna z rodzin w pobliskich Pereliskach trudniła się wyrobem dywanów i kilimów. W naszym domu było wiele pięknych wyrobów tego warsztatu.

We wsi była ochronka dla małych dzieci, założona i prowadzona przez zakonnice na koszt dworu i pod nadzorem hrabiny Bocheńskiej, aby można było zostawić małe dzieci, kiedy rodzice szli w pole do pracy. Była też siedmioklasowa szkoła podstawowa kierowana przez panią Mędrkiewicz. Społeczność wsi samowystarczalna. Przy każdym domu był sad owocowy, ogród warzywny, wiele kwiatów, drzew i krzewów ozdobnych. Na zimę każda piwnica i spiżarnia była bogato zaopatrzona we własne przetwory, na strychu przechowywano suszone grzyby, owoce, a nawet suszone mięso i wędzone wędliny, odpowiednio zabezpieczone, najczęściej powieszzone na sznurkach tak, aby żadne niepowołane istoty nie mogły się do nich dostać.

W Wołochach mieszkali zarówno Polacy, jak i Ukraińcy, zwani jeszcze wtedy Rusinami; mieszane małżeństwa były na porządku dziennym. Do czasu napływu bojówek UPA z Wołynia w 1943 roku poważniejsze konflikty w tej społeczności, i w ogóle okolicach Urszulina, powstawały bardzo rzadko. A jeśli się zdarzały, to rozwiązywali je przeważnie rzymskokatolicki proboszcz i pop greckokatolicki. Tak było od zawsze i nikt sobie nie wyobrażał, że może być inaczej. A jednak...

Za Wołochami, przy rozwidleniu dróg na Podkamień i Pereliski, wśród czterech ogromnych płaczących brzoź na trawiastym skwerku stała rzymskokatolicka figura Matki Boskiej. Za figurą, w kierunku na Podkamień, za lekkim wzniesieniem wzdłuż Safatowej Doliny, leżała nasza posiadłość – Urszulin. Ciągnęła się w lewo na północ, lekko pod górę, poprzez niewielkie wzniesienie, aż do doliny za skłonem, przez którą z południowego wschodu na zachód wśród kwiecistych łąk i szuwarów płynęła rzeka Ponikwa.

Ojciec nadal pracował w Warszawie, gdzie mieliśmy wygodne mieszkanie, ale co roku już w maju wyjeżdżaliśmy na Podole. Zanim było możliwe zamieszkanie we własnym domu, zatrzymywaliśmy się w Pereliskach u Johanki, kuzynki mamy. Potem, po wykończeniu kilku pomieszczeń, jeździliśmy już prosto do Urszulina, jak ojciec nazwał naszą siedzibę od imienia mamy. W tym czasie poznałem uroki życia na wsi. Dla dziecka wychowanego w murach dużego miasta był to istny raj. Codziennie odkrywałem nowy, cudowny świat.

Dom budowany przez ojca miał nietypową, jak na owe czasy i tamte okolice, architekturę. Zblokowana

bryła, prosta w formie z płaskim dachem, obszernym tarasem nad parterem doskonale spełniała wszystkie potrzebne funkcje. Architekt Hipolit Rutkowski, znajomy ojca, architekturę i rozwiązania konstrukcyjne oparł na włoskich wzorcach. Budynek o łącznej powierzchni 250 m², całkowicie murowany, miał cztery kondygnacje. Na parterze znajdowały się trzy pokoje: jadalnia, gabinet ojca do pracy i sypialnia. Poza tym przestronny hol, z którego prowadziły schody na wyższe kondygnacje, oraz obszerna kuchnia, w której był blok kuchenny z tzw. bradrurą, suszarnia owoców i grzybów oraz piec do wypieków, wszystko opalane drewnem, wreszcie łazienka i służbówka. W kondygnacji podziemnej, o dodatkowej powierzchni 170 m², były piwnice oraz pomieszczenia do przechowywania owoców. Pierwsze piętro do chwili wybuchu wojny nie zostało całkowicie wykończone. A potem już nie było za co cegokolwiek budować czy wyposażać. Na piętrze tym nie było ścian działowych między planowanymi trzema pokojami, podłoga była ślepa. Był tylko wydzielony korytarz z wyjściem na taras. Drugie piętro, pomieszczenie nad klatką schodową było zakończone, nie miało jednak szczególnego przeznaczenia. W budynkach gospodarczych zlokalizowano hodowlę jedwabników oraz pomieszczenia fermy kurzej.

Ciekawostką było to, że mury ścian zewnętrznych na parterze budynku mieszkalnego miały grubość ponad jednego metra, co przypominało trochę warownię wojskową. Konstrukcja budynku nie wymagała tak grubego muru, lecz takie było życzenie mojego ojca, które budowniczy musiał spełnić. Również życzeniem ojca, okna i drzwi były usytuowane naprzemiennie tak,

aby patrząc z zewnątrz w okna na parterze, nie było prześwitu przez budynek. Architektura domu była taka, że pozwalała na utworzenie wielu zakamarków i skrytek. W latach okrutnej wojny okazało się, że te życzenia miały swój sens i były wręcz prorocze.

Oprócz domu, najważniejszą częścią naszej posiadłości był sad produkcyjno – handlowy, założony na powierzchni ponad czterech hektarów bardzo żyznej ziemi według zaleceń i pod nadzorem pomologa Bronisława Gałczyńskiego. Przed określeniem liczby i gatunków drzew owocowych zostały przeprowadzone dokładne badania gleby w laboratorium w Warszawie. Oczywiście w wyborze odmian duże znaczenie miały też warunki klimatyczne. Posadzono łącznie ponad sześćset drzew owocowych, głównie jabłoni odmian amerykańskich i niemieckich, oraz dwa i pół tysiąca drzew morwowych. Morwy zwartą ścianą otaczały sad od strony zachodniej i północnej, chroniąc w ten sposób drzewa owocowe przed wiatrem i chłodem. Każde drzewo owocowe na odpowiednim planie miało swój numer, określający datę posadzenia, odmianę i miejsce zakupu.

Gospodarstwo w Urszulinie było zaplanowane tak, by przynosiło dochód ze sprzedaży owoców z sadu, przetwórstwa owoców, hodowli jedwabników, pasieki i fermy kurzej. W dalszej przyszłości miała powstać plantacja winogron i wytwórnia win. Ojciec do każdego przedsięwzięcia przygotowywał się bardzo starannie. Aby uzyskać odpowiednie przygotowanie teoretyczne, ukończył w Warszawie specjalistyczny kurs sadowniczy. Bogato wyposażył bibliotekę i prenumerował wiele fachowych pism. Poglębiał wiedzę i wiele rzeczy starał się robić sam.

Miał doskonale wyposażony warsztat stolarski, przystosowany do lewej ręki. Mimo to, ze względu na niesprawność prawej, nie wszystkie czynności mógł wykonać sam. Wtedy „angażował” mnie do pomocy. Dzięki temu zdobyłem sporą wiedzę praktyczną m.in. z zakresu sadownictwa, np. szczepienia drzewek, pszczelarstwa i hodowli jedwabników.

Teraz, z perspektywy czasu mogę bezstronnie – jak sądzę – ocenić umiejętność działania i mądrość mojego ojca. Był człowiekiem konsekwentnym, pracowitym, metodycznie realizującym swoje zamierzenia. Po pierwszej wojnie światowej należał do organizatorów Związku Inwalidów Wojennych Rzeczypospolitej Polskiej. Przez wiele lat pełnił funkcję przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego, a potem sekretarza Zarządu Głównego tego związku. Organizacja ta była w skali kraju silna i znacznie dotowana z budżetu państwa. Miała w swojej gestii sanatoria i szpitale. Przyznawała renty inwalidzkie, zapomogi, sprawowała opiekę nad sierotami po poległych. Państwo pamiętało o tych, którzy oddawali krew i życie za niepodległość Polski. Ojciec był inicjatorem, organizatorem i nadzorującym budowę internatu i szkoły średniej w Gołotczyźnie pod Warszawą dla dzieci inwalidów i sierot po poległych w wojnie o wolność ojczyzny. Za tę działalność został uhonorowany srebrnym krzyżem zasługi.

Praca mojego ojca jako księgowego w kilku firmach oraz funkcja sekretarza w Zarządzie Głównym Związku Inwalidów Wojennych umożliwiały urządzenie domu na miarę naszych potrzeb. Do poborów księgowego i pensji sekretarza dochodziła jeszcze renta inwalidzka oraz dochody

z dzierżawionej koncesji na prowadzenie handlu win i wódek. Koncesje takie dostawali wyłącznie inwalidzi wojenni, którzy zasłużyli się w odzyskaniu niepodległości.

Na dwa lata przed wojną, po wykończeniu parteru, przeprowadziliśmy się do Urszulina. Mieszkanie w Warszawie nie zostało sprzedane, gdyż ojciec nadal pracował w stolicy, ale często przyjeżdżał do Urszulina, aby nadzorować dalszą budowę domu i rozwój gospodarstwa. Zawsze przywoził wiele smakołyków, które tu nie były osiągalne lub trzeba było po nie jechać bardzo daleko. Kawa herbata, kakao, owoce południowe były rarytasem. Mama gotowała wielki garnek kakao na świeżym wiejskim mleku. Garnek lądował na ławie na podwórku, a dzieciaki z rodziny i sąsiedztwa ustawiały się w kolejce i każde dostawało kubek smakowitej „taby”⁵⁾, jak dzieci nazywały ten napój.

Pewnego razu tato przywiózł z Warszawy w dwóch ogromnych skrzyniach odbiornik radiowy. Trzeba wiedzieć, że w owych czasach i na tamtych terenach w promieniu kilkunastu kilometrów nikt nie miał energii elektrycznej, a tym bardziej radia. Jedynie w pałacu hrabiego Bocheńskiego czasami pracowała tzw. dynamomaszyna, która zaopatrywała pałac w prąd. Zmontowanie urządzenia radiowego wcale nie było takie proste. Sam wielki odbiornik ważył chyba ze dwadzieścia kilogramów, do tego kilka baterii, akumulator i jeszcze jakieś urządzenia, których przeznaczenie znał tylko ojciec. Po zmontowaniu całej tej maszyny z radioodbiornika popłynęły dźwięki muzyki i usłyszeliśmy głos spikera z Warszawy.

⁵⁾ „Taba” dzieciennie, od słowa kawa

Dla nas nie była to sensacja, gdyż w Warszawie mieliśmy radio już dawno, chociaż wtedy i w Warszawie nie było ono w powszechnym posiadaniu.

Wieść o tym nabytku szybko się rozniosła wokolicy i codziennie mieliśmy chętnych do słuchania – jedni przychodzili z ciekawości, inni dla sensacji. Najwytrwalszymi słuchaczami byli ci, których interesowały najnowsze wiadomości. A te były coraz bardziej niepokojące. Wiadomości z Warszawy stale dotyczyły przygotowań do obrony. Niemcy hitlerowskie z każdym dniem coraz intensywniej szykowały się do wojny.

Koniec mojego szczęśliwego świata

Nadszedł złowrogi rok 1939. Wszystko, co było najpiękniejsze i bez troski w moim dziecięcym życiu, runęło na zawsze. Przyszły same troski, kłopoty i zmartwienia. A ja bardzo szybko wydoroślałem.

Pierwszego września, w piątek rano, zła wieść sparaliżowała wszystkich. Warszawa podała, że Niemcy zaatakowali Polskę na całej długości granicy. Dla nas dodatkowo przerażające było to, że nie było w domu ojca, bo wyjechał do Warszawy. Po kilku dniach jednak szczęśliwie do nas dotarł. Opowiadał, że na dwa dni przed wybuchem wojny był przy granicy polsko-niemieckiej w Boguminie na zebraniu tamtejszego Oddziału Związku Inwalidów. Rano pancerny pociąg niemiecki bez ostrzeżenia staranował granicę i wjechał na tamtejszą stację. Na stacji i w mieście wybuchła panika. Niemcy ostrzelali

wszystko, co było w zasięgu ich dział i karabinów maszynowych, a po kilku godzinach wycofali się. Ojciec nie wrócił do Warszawy, lecz pojechał prosto do nas. Byliśmy szczęśliwi, że jesteśmy razem. Dość szybko zdaliśmy sobie sprawę, że do Warszawy tak szybko nie pojedziemy, że musimy w Urszulinie czekać na rozwój wypadków. Z czasem dowiedzieliśmy się, że kamienica przy ul. Pańskiej 105, w której mieszkaliśmy, została zbombardowana i nasze mieszkanie przestało istnieć.

Każda kolejna informacja podawana przez radio była gorsza od poprzedniej. Warszawa i większe miasta były bombardowane codziennie. Pamiętam dobrze łamiący się głos spikera Bocheńskiego, kiedy przekazywał te wiadomości. Złudna radość zapanowała tylko wtedy, gdy podano informację, że Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom. W czasie komunikatów podawanych ze studia warszawskiego słychać było odgłosy bombardowań, ryk przelatujących samolotów, huk dział przeciwlotniczych i wybuchy bomb. W pewnym momencie w czasie audycji rozległ się huk i trzask, ktoś wpadł do studia z okrzykiem „rany boskie!”, a Bocheński wydał z siebie jęk „o, Boże!”, po czym na dłuższy czas zapadła głucha cisza.

Coraz częściej widziało się grupy i grupki polskich żołnierzy wędrujące w różnych kierunkach. Jedni uzbrojeni maszerowali w szyku, inni bez broni w niekompletnym umundurowaniu uciekali, nie bardzo wiedząc dokąd. Radio nadawało wieści coraz bardziej tragiczne. Głos z Warszawy coraz częściej zanikał. Za to Berlin nadawał stale marsze wojskowe, wrzaski Hitlera i kłamliwe komunikaty z frontu

o nowych zwycięstwach i zdobyczach. To, co mama rozumiała z tych wiadomości, było przerażające. Warszawa zdobyta, armia polska już nie stawia oporu. Coraz większe tereny obszaru polski pod panowaniem niemieckim. Liczyliśmy się z tym, że lada dzień wojska niemieckie dojdą do nas.

Pewnego dnia na nasze podwórze wjechały dwie bryczki wypełnione wojskowymi. Okazało się, że był to ojca znajomy, major Wojska Polskiego wraz z kilkoma oficerami. Po dłuższej naradzie z rodzicami oficerowie zdjęli z siebie mundury. Mama rozpałała w piecu i spaliła je. Ojciec dał im swoje ubrania i oficerowie wyjechali od nas jako cywile. Złożyli wraz z ojcem uroczyste przyrzeczenie, że z wrogiem będą walczyć z podziemia. Zachowali tylko broń krótką. Szable bagnety, broń długą i amunicję zostawili ojcu. Dowiedzieliśmy się później, że major został aresztowany przez Rosjan i wywieziony w głąb Rosji. Nie dał już nigdy żadnego znaku życia. Podobna historia powtórzyła się jeszcze kilka razy. Polscy wojskowi zostawiali broń, przebierali się w cywilne ubrania, przysięgali, że będą walczyć z ukrycia i starali się przedostać w rodzinne strony. Większe oddziały „przechodziły do cywila” w Hucie Pieniackiej.

Zdarzały się jednak, i to dość często, sytuacje tragiczne. Ukraińscy chłopcy zapraszali do siebie umęczonych żołnierzy polskich, dawali jeść, miejsce do spania, a w nocy mordowali i okradali ze wszystkiego. Administracja ani policja już nie działały. Nie było komu ścigać tych zbrodniarzy. Coraz wyraźniej ujawniały się antypolskie nastroje wśród Ukraińców. Zaczęły się zdarzać przypadki

agresji w stosunku do Polaków, niejednokrotnie przeradzające się w potworne zbrodnie.

Dwaj kilkunastoletni synowie jednego z nauczycieli z Jasionowa uczyli się w liceum we Lwowie i mieszkali tam na stacji. Po wybuchu wojny postanowili wrócić do domu. Jednak nigdy do domu nie dotarli. Po kilku tygodniach znaleziono w lesie ich rozkładające się ciała. Zostali bestialsko zamordowani. Pozbawieni szkolnych mundurków, skrupowani i przywiązani do drzewa w sposób uniemożliwiający jakikolwiek ruch. Obu wycięto języki. Można sobie wyobrazić, w jakich męczarniach skonali ci chłopcy.

Agresja sowiecka

Radia słuchaliśmy prawie bez przerwy. Siedemnastego września w niedzielę dało się wyraźnie słyszeć radio rosyjskie. Wrzeszczeli jak opętani, zrozumieliśmy z mamą tylko entuzjastyczne krzyki: *Krasnaja Armia* i *Marszał Woroszyłow*; było jednak jasne, że stało się coś bardzo niedobrego. Zawołaliśmy ojca, który w Warszawie, w zaborze rosyjskim, chodził do gimnazjum i znał język rosyjski. Przybiegł do radia, zaczął słuchać, po chwili znieruchomiał:

— Oni mówią, że Polska przestała istnieć, że rząd uciekł do Rumunii, a Armia Czerwona pod dowództwem marszałka Woroszyłowa wkroczyła na nasze ziemie, aby uwolnić uciemiężone narody — Ukraińców i Białorusinów. Białoruś i Ukraina będzie włączona do szczęśliwej rodziny narodów Związku Sowieckiego.

Mama wyłączyła radio, twarze rodziców były szare, zapadło grobowe milczenie.

— To koniec – zmienionym głosem powiedział ojciec – naszej ojczyźnie wbito nóż w plecy. Teraz już nam nie pomoże nawet i to, że Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę.

Od tego dnia spokój i pewność o dzień jutrzejszy znikły z mojej świadomości na zawsze.

Po trzech dniach w mglisty, deszczowy dzień jak złowieszcza forpoczta pojawił się przed naszym domem oddział rosyjskich żołnierzy na koniach pod wodzą oficera. Było ich kilku. Zachowywali się spokojnie; ojciec wyszedł do nich. Zapytali, czy w domu są jacyś żołnierze. Ojciec odpowiedział, że jest tu tylko jego rodzina i nikogo więcej nie ma. Zaprosił, żeby weszli do domu, z zaproszenia nie skorzystali, pojechali dalej.

Dopiero po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że w przeddzień ów oficer nocował u żydowskiej rodziny we wsi Wydra, oddalonej o dwa kilometry na wschód od nas. Wieczorem kazał wszystkim wyjść z pokoju i zostawił tylko właściciela domu. Wyjął pistolet, załadował i przyłożył mu do głowy:

— A teraz będziesz mówił prawdę. Dwa kilometry przed nami mieszka pamioszczyk Żuk, a jeszcze dwa kilometry dalej graf Bocheński?

Przerażony Żyd potwierdził, że tak.

— Mów ile oni mają wojska i gdzie to wojsko stoi i jak jest uzbrojone. Jak skłamiesz, zastrzelę.

Wystraszony sklepikarz tłumaczył, że w okolicy żadnego wojska nie ma, że nie widział żadnego polskiego żołnierza. Okazało się potem, że propaganda sowiecka wbijała swojemu społeczeństwu do głowy

różne brednie, między innymi takie, że w Polsce każdy szlachcic ma swoją zbrojną drużynę. Oficer obawiał się oporu. Niedowierzał Żydowi i zagroził, że jeżeli kłamie, to wróci i go zastrzeli.

Po kilku dniach sławna Armia Czerwona zaczęła przed naszym domem płynąć jak rzeka na zachód. Był to istny obraz nędzy i rozpaczy. Nie da się opisać, jak biedne było to wojsko. Czy wojsko? To był tłum umęczonych, głodnych, brudnych ludzi w łachmanach. Trudno było rozpoznać mundury bądź dystynkcje. Żadnej mechanizacji, wszystko na piechotę. Co najwyżej jakieś rozklekotane wozy konne ciągnięte przez wychudzone szkapę. Być może, że akurat koło nas wtedy przechodziły oddziały wycieńczone długotrwałym marszem, jednak opisuję to, co widziałem na własne oczy.

Pamiętam jak w niedzielę po południu mama siedziała przy siatce przed domem, patrzyła na to morze nędzy płynące drogą ze wschodu i łzy spływały jej po twarzy. Co jakiś czas żołnierz lub oficer, patrząc na nasz dom, pytał:

— Bariżnia szto eto takoję?

Mama starała się wytłumaczyć, że jest to dom prywatny, że mieszka tu rodzina. Za nic żaden z nich pojąć nie mógł, że taki duży dom może być własnością jednej rodziny.

— A ty skąd jesteś? – spytała mama.

— *Ja iz Kawkaza.*

— Z Kaukazu idziesz i nie widziałeś takiego domu?

Potem mama zaniechała dalszych tłumaczeń. Na pytanie:

— Bariżnia, szto eto? Bolnica?

— Bolnica – odpowiadała machinalnie.

— Szto eto? Cerkow?

— Cerkow.

— Szto eto? Szkoła?

— Da, szkoła.

Aż któryś zapytał – Szto eto? Tiumra?

— Tiumra – odpowiedziała mama, nie wiedząc, że to znaczy „więzienie”. A wtedy w nich jakby piorun strzelił.

Zarepetowali karabiny i kilkudziesięciu pędem przesadziło ogrodzenie. Biegli przez podwórze wyzwalać, tylko nie bardzo sami wiedzieli kogo. Nie słuchając wyjaśnień ojca rozbiegli się po całym domu, kazali otworzyć wszystkie drzwi, przeszukali wszystkie pomieszczenia, a nie znalazłszy nikogo, byli bardzo zawiedzeni. Z niedowierzaniem słuchali wyjaśnień ojca, że nie ma tu żadnego więzienia ani żadnych więźniów.

Po wejściu „czerwonych barbarzyńców” hrabia Bocheński został natychmiast aresztowany. Sowiecki politruk zwołał we wsi zebranie, na którym uświadamiał mieszkańców Ponikwy, Wołoch i Perelisek, jak to polscy panowie gnębili swoich poddanych. Hrabia Bocheński został doprowadzony na to zebranie jako główny oskarżony.

— Teraz Armia Czerwona wyzwoliła gnębiony naród i możecie wydać wyrok na tego krwiopijcę – grzmiał politruk. Zebranie odbywało się w języku rosyjskim tłumaczone na ukraiński.

Na sali nie było spontaniczności. Politruk do głosu musiał wyciągać niemal siłą. Każdy, kto zabierał głos, bronił Bocheńskiego, opowiadając, że nigdy nikomu nie zrobił krzywdy. Wreszcie politruk poddał pod

głosowanie wniosek, aby hrabiego postawić przed sądem wojskowym i ukarać śmiercią. Jakież było jego zdziwienie, gdy nie było nikogo za, wszyscy byli przeciw. Bocheńscy byli ogólnie szanowani w okolicy i nikt nie śmiał takiego wniosku poprzeć. Politruk, rad nie rad, musiał hrabiego zwolnić. Nie wszędzie na terenach zajętych przez czerwoną nawałę przebiegało to tak łagodnie. Mój ojciec był na tym zebraniu i powyższa relacja to skrót jego opowiadania o tym wydarzeniu.

Ogłoszono, że „wszystko, co mają polscy panowie, jest wasze. Bierzcie, co chcecie”. Tego nie trzeba ludziom było powtarzać. W ciągu kilku dni obrabowano wszystkie majątki właścicieli ziemskich; między innymi złupiono doszczętnie pałac Sobieskich w Podhorcach. Rabunków przeważnie dokonywali Ukraińcy, ale trzeba przyznać, że i polscy chłopci też niejednokrotnie brali w tym udział. Hrabia Bocheński zdążył wyjechać z rodziną. Rabowanie jego majątku trwało wiele dni. Wyrywano z pałacu i budynków gospodarczych okna, drzwi, futryny, podłogi, rozebrano dach. Zostały tylko mury. Potem zabrano się za rozbieranie murów. W roku 1998 byłem w Ponikwie. Po pałacu Bocheńskich nie została ani jedna cegła. Tylko potężne okaleczone mury parafialnego kościoła rzymskokatolickiego stale jeszcze stały, jak smutne oskarżenie czerwonego najazdu.

Nie wszystkie przedmioty zrabowane z pałacu Bocheńskich dały się wnieść do chłopskich chałup. Fortepian w żaden sposób się nie mieścił. Postawiono go w oborze. Na wiosnę po otwarciu klapy nasadzono na strunach kwoki na jajach, które

z powodzeniem wyprowadziły kurczęta. Duże lustro z salonu, żadną miarą nie mieściło się przez drzwi ani przez okno. Postawiono je więc w stodole na klepsku, opierając o ścianę. Gospodarz miał okazałego buhaja. Po otwarciu wierzei zwierzę zobaczyło w lustrze rozwścieczonego przeciwnika i bez namysłu ruszyło do ataku. Potężne cielsko przebiło lustro i rozwalilo pół ściany stodoly. Chłop stracił lustro, poranione zwierzę trzeba było zabić, a i stodoła też wymagała remontu. Taki był pożytek z rabunku cudzego mienia.

Państwo polskie zostało wymazane z mapy Europy. Czarne chmury zawisły nad Polakami. Jednakże, jak się potem okazało, najczarniejszy scenariusz, jaki można było sobie wtedy wyobrazić, nie przewidywał tak okrutnych zbrodni, tak wielkich nieszczęść, jakie stały się rzeczywistością. Ukraińcy triumfowali, mówili: „Skoro takie dwie potęgi podały sobie ręce, to Polska już nigdy nie powstanie.” Wydawało się, że mają rację, że nie ma dla nas żadnego ratunku, choć na dnie polskiego serca zawsze tliła się nadzieja, że nie wszystko stracone „póki my żyjemy”.

Bolszewicy obiecywali Ukraińcom samostijną Ukrainę, ale szybko okazało się, że było to, jak wiele innych, propagandowe kłamstwo. Dostali tylko republikę sowiecką, i to oczywiście na własną prośbę. Wśród ukraińskich działaczy nastąpił rozłam. Nacjonaści cieszyli się z usuwania administracji polskiej, lecz byli przeciwni ukraińskiej republice sowieckiej; tak samo nienawidzili Polaków, jak i Rosjan. Komuniści natomiast przystąpili do organizowania władz USSR, obsadzania urzędów, szkół itp.

Ogłoszono, że jeśli ktoś posiada broń, to ma ją natychmiast oddać w miejscowym posterunku NKWD. Ojciec oddał tylko moją wiatrówkę jako karabin⁶⁾ oraz kilka sztuk mało wartościowej broni myśliwskiej. Pozostałą broń palną i białą, zarówno własną, jak i tą, którą pozostawili polscy oficerowie, załadowaliśmy do sporej skrzyni. Pustą przestrzeń wypełniliśmy tzw. wazeliną techniczną. Skrzynię obiliśmy szczelnie papą, żeby wilgoć nie dostała się do wnętrza, i zakopaliśmy w sadzie. Ojciec był przewidujący, okazało się potem, że ta broń znacznie się przyczyniła do uratowania nam życia. Oczywiście radio też trzeba było natychmiast oddać.

Rozpoczęły się masowe aresztowania. Od razu aresztowano księdza i popa greckokatolickiego, a w ciągu kilku tygodni wszystkich policjantów, sędziów, prokuratorów i urzędników państwowych. Wśród aresztowanych było dwóch braci mojej mamy, którzy mieszkali we Lwowie; obaj zaginęli bez wieści. NKWD miało przygotowane listy nazwisk, według których dokonywało zatrzymań. Powszechnie było wiadomo, że listy te były sporządzone przed wybuchem wojny przez wywiad sowiecki przy pomocy nacjonalistów ukraińskich. Zdarzało się, że aresztowano również Ukraińców, ale tylko w przypadku, gdy zajmowali jakieś stanowiska państwowe w administracji polskiej bądź byli właścicielami znacniejszego majątku.

Zapanował obezwładniający strach, nikt nie był pewien, czy jutro obudzi się we własnym domu. Dom albo mieszkanie, zaplombowane, przejmowała administracja ukraińska. Jakiegokolwiek interwencji, próby dowiadywania się czegoś nie odnosiły

⁶⁾ Wiatrówka była do ćwiczeń. Zewnętrznie wyglądała jak karabin.

żadnego skutku. Na ogół NKWD nie przyznawało się do żadnych aresztowań. Co najwyżej odpowiedź była taka, że aresztowany został przewieziony do innego więzienia. Jeśli ktoś bardziej nieustępliwie się dopytywał, to po jakimś czasie i jego nie było. Nie istniały żadne sądy, nikomu nie stawiano żadnych zarzutów. Nie było szans na żadną obronę.

Polskie pieniądze, oczywiście, natychmiast unieważniono. Nie słyszałem, aby żołnierze rosyjscy kradli bądź cokolwiek rabowali. Każdy z nich miał ogromne ilości sowieckich pieniędzy. Brali ze sklepu, co popadło, i płacili garściami rubli. Odbywało się to nieraz w komiczny sposób. Raz mama posłała mnie po coś do miejscowego sklepu. W tym momencie wszedł do sklepu oficer z żoną. Rozłożyli na podłodze płachtę i po kolei zaczęli zbierać z półek, co popadło. Ułożyli na płachcie wysoką stertę przypadkowych towarów. Oficer wyjmował z różnych kieszeni garście papierowych rubli i usypał z nich na ladzie dość wysoką stertę. Zapytał właścicielkę sklepu – Chwatit eto? /wystarczy?

Zdezorientowana sprzedawczyni kiwnęła głową. Nie знаła jeszcze wartości sowieckiego rubla, zdumiała ją sterta pieniędzy. Nawet gdyby знаła, nie miałoby to żadnego znaczenia, gdyż ceny rosły w zastraszającym tempie, a po kilku tygodniach wszystkie sklepy świeciły pustkami.

Sytuacja materialna naszej rodziny zaczynała się niebezpiecznie pogarszać. Ojciec stracił wszelkie dochody i oszczędności. Zaczynało brakować środków do życia. Jak już wspomniałem, gospodarstwo nasze było nastawione na intensywne sadownictwo, hodowlę jedwabników, produkcję jaj

i miodu. Nie było samowystarczalne. Nie wytwarzało takich produktów spożywczych, jak mleko, masło czy mąka. Tymczasem cały handel prywatny został niezwłocznie zlikwidowany. Niczego oficjalnie sprzedać ani kupić nie było można. Handlowanie zaś czymkolwiek było niebezpieczne, każdy kupiec był posądzany o spekulację i w każdej chwili groziło mu aresztowanie. Produkcja prywatna została natychmiast zlikwidowana. Nakazano jednak ojcu pod groźbą represji kontynuować hodowlę jedwabników, nie zapewniając jednak opłacalnej ceny. Jedwab był materiałem strategicznym, koniecznym do produkcji spadochronów i pojemników na materiały wybuchowe dla artylerii.

Wiadomo było, do czego w krótkim czasie doprowadzi taka sytuacja – do biedy i nędzy. Formujące się władze bolszewickie nie chciały słuchać żadnych uwag na ten temat. Odpowiedź była jedna: „U nas w Moskwie wsiewo mnogo, przywiozą i będzie wszystko co potrzeba”. Na razie jednak nie przywozili nic i szykował się głód.

Aby się przed nim uchronić, ojciec zaczął po kolei sprzedawać różne rzeczy. Na pierwszy ogień poszedł aparat fotograficzny. Był to bardzo łakomy kąsek. Kupił go Rosjanin, wysokiej rangi urzędnik. Ojciec musiał go długo szkolić i uważać, aby nie zniszczył aparatu. Okazało się, że o czymś takim jak aparat fotograficzny to on tylko słyszał. Zapłatą za aparat były dwa pełne wozy konne różnych produktów. Było tam mięso wędzone, słonina, mąka, cukier i wiele innych artykułów spożywczych, a co najważniejsze spirytus, który w owym czasie był najlepszą walutą. Za spirytus u Rosjan można było

dostać wszystko. Wystarczyło nam to na przeżycie kilku miesięcy.

Następnie poszedł rower, też za artykuły spożywcze. Rower był ogromną atrakcją. Rosjanie, urzędnicy i oficerowie, zbiegli się tłumnie, a tata mógł wynegocjować wysoką cenę. Okazało się też, że żaden z nich u siebie roweru nie widział. Takie cudo techniki zobaczyli dopiero tutaj. I znowu tata musiał robić szkolenie, jak posługiwać się takim „skomplikowanym urządzeniem”. Za rower też przeżyliśmy jakiś czas. A potem przyszła kolej na drobniejsze rzeczy. Coś takiego jak zegarek czy zapalniczka było bowiem nieosiągalnym marzeniem każdego z „wyzwolicielei”.

Jednak z takiej wyprzedaży posiadanych rzeczy nie można się było utrzymywać się przez dłuższy czas. Teraz przydało się wykształcenie ojca jako księgowego i znajomość rosyjskiego języka. Zajął się organizowaniem sieci sklepów z nazwy spółdzielczych – kooperatyw. Udało mu się utworzyć system zaopatrzenia takich okolicznych sklepów. Dzięki jego wysiłkom i interwencjom zaczęły pojawiać się wielokrotnie obiecywane towary ze Związku Radzieckiego. Pożał się Boże, cóż to były za straszliwe buble. Plaszcz z dwoma lewymi rękawami, buty bez numeracji, nie dało się odróżnić, który lewy, a który prawy. Można by wymieniać wiele rzeczy wyprodukowanych w sowieckich fabrykach i przekazanych do sprzedaży, które zupełnie nie nadawały się do użytku. Ojca mianowano szefem systemu handlowego całego powiatu. Zapewniło to rodzinie stały dopływ tak potrzebnej gotówki, za którą można było cokolwiek kupić i jakoś przeżyć.

Przyszło Boże Narodzenie i Nowy Rok – jedno z najsmutniejszych świąt w życiu naszej rodziny, choć spędziliśmy je wspólnie u dziadków w Hucie Pieniackiej. Wieś ta była samowystarczalna, więc jeszcze głodu nie było. Aresztowano jednak bez powodu wiele osób.

Na terenie majątku Bocheńskich Rosjanie utworzyli obóz dla jeńców polskich. Duży teren ogrodzili wysokim drutem kolczastym i zamknęli w nim kilka tysięcy ludzi. Ilu ich tam było naprawdę, nikt nie wiedział, zwłaszcza, że stale przywozili następnych i wywozili jakieś wybrane grupy jeńców. Potem dowiedzieliśmy się, że przeprowadzali selekcje, wywozili oficerów, a zostawiali żołnierzy szeregowych. Jeńcy przebywali tam w strasznych warunkach, umierali z głodu i chorób. Ludzie samorzutnie organizowali pomoc, aby im dostarczyć trochę żywności. Niejednokrotnie próby przerzucania chleba lub innej żywności przez druty kolczaste kończyły się strzałami strażników. Obóz jednak nie był mocno strzeżony, gdyż więźniowie stale z niego uciekali. U nas w domu był jeden z punktów przerzutowych. Uciekinier przebywał kilka dni dostawał jeść, cywilne ubranie i szedł dalej w swoje strony.

Jeden z uciekinierów ukrywany był u nas przez dłuższy czas. Nazywał się Przyłuski i pochodził z Warszawy, z zawodu był garbarzem. W domu mieliśmy dużo suszonych skór z upolowanej przed wojną przez tatę zwierzyny. Wszystkie te skóry pięknie wyprawił. Futra bardzo się przydały w cięższych czasach na ubrania i przykrycia. Na wiosnę czterdziestego roku pan Przyłuski dostał od taty

cywilne ubranie i powędrował szczęśliwie do domu. Po wojnie spotkaliśmy się z panem Przyluskim i jego rodziną w Warszawie, miał żonę i dwie córki. Państwo Przyluscy mieszkali w Warszawie przy ul. Grochowskiej.

Po jakimś czasie bolszewicy wywieźli w nieznanym kierunku wszystkich jeńców i obóz zlikwidowali. Od zaprzyjaźnionych Rosjan, a byli i tacy, dowiedzieliśmy się, że wszyscy jeńcy oficerowie polscy zostali wywiezieni w głąb Rosji i rozstrzelani, a żołnierzy wywieziono do obozów w dalekiej Syberii. Wieści takie uporczywie krążyły na terenach okupowanych przez bolszewików. Nie padała nazwa Katyń, ale co do straszliwej zbrodni, że wszyscy oficerowie polscy zostali zlikwidowani nikt u nas nie miał żadnych wątpliwości.

Oprócz okrutnych represji Polacy doświadczyli w tym czasie szczególnego upokorzenia. Było nim referendum w sprawie przyłączenia zajętych przez Rosjan ziem do Związku Sowieckiego. Propaganda huczała, że wszyscy muszą głosować za przyłączeniem, ale wielu Polaków głosowało przeciw. Referendum zostało oczywiście sfalszowane. Główne fałszerstwo polegało na tym, że w głosowaniu uczestniczyło stacjonujące na tym terenie sowieckie wojsko okupacyjne.

I tak niechcący, wbrew naszej woli, staliśmy się obywatelami Związku Sowieckiego, mieszkańcami Ukraińskiej Republiki Sowieckiej. Mama uważała to za przekleństwo i upokorzenie. Po wojnie, już w Polsce Ludowej, przez kilka lat nie odebrała dowodu osobistego, ponieważ napisali jej w dowodzie, że urodziła się w Związku Radzieckim.

Polski system szkolny zlikwidowano bardzo szybko. Nauczyciele w większości zostali aresztowani i wywiezieni w niewiadomym kierunku. Naszą szkołą jeszcze przez jakiś czas kierowała pani Mędrkiewicz, ale wkrótce sprowadzono nowe nauczycielki ze wschodniej Ukrainy. Mówiły zupełnie innym językiem niż miejscowa ludność ukraińska. Wszystkie klasy cofnięto o jeden rok, z powodu rzekomo niższego poziomu nauczania w burżuazyjnej Polsce, mimo że w rzeczywistości było odwrotnie. Wprowadzono wykładowy język ukraiński i naukę rosyjskiego. Język polski został zakazany, za jedno słowo po polsku wylatywało się z klasy. Nie było wyboru, musiałem chodzić do takiej szkoły. W mowie językiem ukraińskim posługiwałem się bezbłędnie, ale nie znałem ani jednej litery graždanki, potocznie zwanej „cyrylicą”. Ojciec uzgodnił z panią Mędrkiewicz, że codziennie po szkole będę chodził do niej na lekcje ukraińskiego i rosyjskiego pisania. Pani Mędrkiewicz prowadziła normalny dom i zdarzało się, że po lekcji zapraszała mnie na obiad. Już wtedy mieszkała u niej jedna z nauczycielek ze wschodniej Ukrainy. Nazywała się Marusia, miała nie więcej jak dwadzieścia parę lat. Cała jej wiedza to był balast propagandy bolszewickiej i nic więcej. W czasie obiadu dochodziło nieraz do komicznych scen. Nie miała na przykład pojęcia, jak posługiwać się nożem i widelcem. A już w prawdziwie osłupienie wprowadził nas fakt, że nigdy nie widziała gotowanych jajek, próbowała je zjeść razem ze skorupką. Tłumaczyła, że u nich w kołchozie czegoś takiego nie było. Sensację wywołała kiedy pani Mędrkiewicz zrobiła

lody. Nie mogła opanować zachwytu. Okazało się że ona czegoś tak pysznego nie jadła nigdy w życiu.

Nauczanie prowadzone przez takie nauczycielki było prymitywne, pełne zakłamania, niezależnie od przedmiotu zawsze przesyczone polityką i bolszewicką propagandą. Zawsze antypolskie. Państwo polskie, jego władza zawsze była przedstawiana w sposób karykaturalny, a historia wprost roila się od przekłamań. Kiedy nauczycielka Szura (tak kazała na siebie mówić) zaczęła opowiadać, że Adam Mickiewicz był sowieckim poetą, nie wytrzymałem i powiedziałem, że to nieprawda, że był Polakiem, pisał po polsku i jutro przyniosę jej egzemplarz Pana Tadeusza napisany po polsku. Nie mogłem przewidzieć, jaki atak hysterii u nauczycielki wywoła moja interwencja. Zrobiła się czerwona, zaczęła wykrzykiwać, że to są kontrrewolucyjne poglądy, że przecież Mickiewicz był Litwinem, a Litwa jest częścią Związku Sowieckiego, więc był poetą sowieckim. Chwyciła mnie za kołnierz i wyrzuciła za drzwi. Nie był to odosobniony przypadek. Histeryczna scena powtórzyła się, kiedy Piłsudski został nazwany bandytą i wrogiem ludu pracującego, a ja temu zaprzeczyłem.

Prostowanie przeze mnie kłamstw zaczęło być niebezpieczne. Ojciec został wezwany do szkoły i odpowiednio pouczony. Rodzice wytłumaczyli mi, że niestety czasami prawda może drogo kosztować, więc muszę w szkole kontrolować swoje reakcje. Zastosowałem się do tego, w związku z czym moja dalsza edukacja przebiegała już nie tylko bez zakłóceń, lecz wręcz z sukcesem: ponieważ miałem większe od rówieśników możliwości poszerzania wiedzy

w domu, na koniec roku zostałem sklasyfikowany najwyżej z całej szkoły. Dostałem honorowy dyplom przodownika nauki, z dużymi, złotymi napisami. Na dyplomie były portrety Lenina i Stalina. Przyniosłem go z dumą do domu. Mama wpadła w szal:

— Będziesz mi tu przynosił portrety tych morderców!

Akurat był rozpalony piec chlebowy. Dyplom błyskawicznie wyładował w ogniu. Było mi trochę żal, ale w końcu przecież mama miała świętą rację.

Wywózki „na dalnij wastok” trwały ciągle, stale ktoś znikał, stale kogoś aresztowano. Jak zawsze w tym zbrodniczym systemie ktoś, kto zaczynał się wyróżniać, stawał się niewygodny, należało się go pozbyć. Nie ominęło to i mojego ojca. Do dziś nie wiemy, skąd dotarły do NKWD informacje, że ojciec brał udział w kampanii przeciw bolszewikom pod wodzą Piłsudskiego i że był ranny pod Kijowem. Musiał donieść ktoś ze znajomych. Zresztą ojciec nie ukrywał przedtem swojej przeszłości, ludzie o tym wiedzieli. Przyszło wezwanie do stawienia się w NKWD. To już nie były żarty. Nie było wyjścia, ojciec musiał się stawić. Pożegnał się z nami. Wziął pieniądze, trochę jedzenia, zmianę bielizny i poszedł.

Mama nie mogła przestać płakać. Ojciec wrócił na drugi dzień wieczorem, strasznie umęczony. Zeznania trwały cały dzień i całą noc. Przesłuchiwało go kolejno kilku enkawudzistów, ale w końcu zwolnili ojca do domu. Przed zwolnieniem musiał podpisać zobowiązanie, że nikomu nie powie, o co go pytano. Powiedziano mu: jesteś inwalidą, dlatego cię puszczamy, ale to nie koniec, będziemy jeszcze się

widywali. Byliśmy pełni najgorszych przeczuć. Już wtedy wiadomo było, że zainteresowanie NKWD nigdy nie kończyło się zaniechaniem postępowania. Finał zawsze był jeden – albo zsyłka, albo razstrzał.

Po kilku dniach zjawił się u nas enkawudzista, wielki chłop na koniu. Widzieliśmy go z daleka, jak do nas jechał. Niczego dobrego to nie wróżyło. Myśleliśmy, że już nas zabiorą, byliśmy przygotowani na bardzo daleką podróż. Niejasne było tylko, dlaczego enkawudzista przyjeżdża w dzień, a nie w nocy. Wywózki odbywały się zawsze w nocy i zawsze przyjeżdżało kilku uzbrojonych enkawudzistów wozem albo sałmami. Okazało się, że był to oficer NKWD i że nie jest to wywózka. Przywitał się grzecznie i powiedział, że chce z ojcem porozmawiać. Zauważyłem, jak strasznie zdenerwowany był tata. Był białutki na twarzy, a prawa, niesprawną ręką nerwowo drżała. Zaprosił oficera do swojego gabinetu.

Rozmowa trwała kilka godzin. Po jakimś czasie mama weszła do gabinetu, podała herbatę i coś do zjedzenia. Enkawudzista warknął, żeby nie przeszkadzać, ale skorzystał z poczęstunku. Wieczorem odjechał. Odtąd takie wizyty powtarzały się niemal codziennie. Czasami przyjeżdżał ktoś inny, ale rozmowa była zawsze taka sama. Opowiadanie życiorysu. Szczegółowe wyjaśnianie służby wojskowej, działalności w okresie międzywojennym, i tak w kółko. Przesłuchania stawały się coraz bardziej agresywne. To ciągle nękanie wykańczało nerwowo nas wszystkich. Wiadomo było, że skończy się to źle – tylko kiedy?

Uniknęliśmy wywózki, gdyż w czerwcu 1941 roku wybuchła wojna sowiecko-niemiecka i Wehrmacht

wkroczył w nasze strony. Po wejściu Niemców w miejscowej komendzie NKWD znaleziono między różnymi dokumentami przygotowaną listę kolejnej zsyłki na Sybir. My znajdowaliśmy się na pierwszej pozycji tej listy.

Kłęska Armii Czerwonej

Dwudziestego pierwszego czerwca 1941 roku była sobota, piękny słoneczny dzień. Przed południem nagle zobaczyliśmy na niebie niemieckie samoloty. Po chwili zrzuciły bomby na lotnisko wojskowe pod Brodami i ostrzelały z karabinów maszynowych stojące tam samoloty. Sowieci nie zdążyli nawet wystartować. Wszyscy byli niezwykle zaskoczeni atakiem Niemców. Najbardziej Rosjanie i Ukraińcy. Nikt nie wiedział, co przyniesie ta wojna. My odetchnęliśmy z ulgą — wiadomo było, że Niemcy na Sybir nas nie wywiozą. Nie mogliśmy jednak przypuszczać, jak straszny czeka nas los...

Zapanował totalny rozgardiasz. Sowieci wpadli w panikę. Uciekali w popłochu. Nie byli zdolni do stawiania jakiegokolwiek oporu. Ukraińscy narodowi szowiniści zastosowali wypróbowaną na polskich żołnierzach metodę mordowania żołnierzy. Umęczonych, głodnych i dezorientowanych żołnierzy sowieckich zapraszali do swych domów, kładli spać, a rano śladu po nich nie było. Ciała wywiezione do lasu, zagrzebane w pośpiechu niejednokrotnie wywlekały psy. Był to skuteczny sposób zdobywania broni i nędznego mienia, jakie posiadali jeszcze ci nieszczęśnicy.

W pewnym momencie nisko nad horyzontem pojawił się rosyjski samolot ciągnąc za sobą warkocz dymu. Widać było, że się pali. Przeleciał obok naszego domu na wysokości kilkudziesięciu metrów i znikł za wzgórzem. Po chwili nastąpił wybuch i wzniósł się słup czarnego dymu. Razem z kilkoma miejscowymi ludźmi pobiegłem w tamtym kierunku. Zanim dobiegliśmy, ogień już się dopalał. Dwusilnikowy szturmowy bombowiec miał trzyosobową załogę. Ci, którzy przybiegli pierwsi, opowiadali, że pilot przeżył, wyskoczył z samolotu i wyciągnął rannego nawigatora. Rosjanie nie wiedzieli, że znajdują się po stronie sowieckiej, zaczęli strzelać do zbliżających się ludzi. Dopiero po wyjaśnieniach uspokoili się, zarekwirowali pierwszą furmankę i odjechali na wschód. Samolot był podziurawiony pociskami jak sito. Miejscami pociski powyrywały kawałki poszycia. Spaliły się oba silniki. Cały przód był doszczętnie spalony, a kadłub aż do sterów usmolony od ognia. Ale najgorsze, co zobaczyłem, to spalone ciało strzelca. Widać było, że przed spaleniem był ranny w nogi. Oba kolana miał przestrzelone, a ręce zaciśnięte na rękojeściach karabinu maszynowego. Zostały tylko niedopalone strzępy munduru. Ciało stopione i zwęglone od ognia. Na głowie i twarzy spalona skóra, ciało i włosy. Biała czaszka lśniła w słońcu. Zrobiło mi się niedobrze, myślałem, że nie opanuję wymiotów i zemdleję. Pierwszy raz dotarło w sposób bolesny do mojej świadomości bezsensowne okrucieństwo wojny. Cóż był winien, jakie przestępstwo popełnił ten młody chłopak, że spotkała go tak okrutna śmierć w męczarniach?

Kompletnie rozbita, rozproszona Armia Czerwona wycofywała się w panicznym nieładzie. Jednak przed opuszczeniem zajętych terenów Sowieci w gorączkowym pośpiechu zdążyli dokonać potwornych zbrodni. Służba więzienna we Lwowie, Tarnopolu, Stanisławowie, Złoczowie i innych miastach otrzymała rozkaz wymordowania wszystkich zatrzymanych więźniów, a więźniowie, to w większości byli przecież Polacy. Po wejściu Niemców odkryto w każdym więzieniu efekty straszliwej masakry – pomordowane ciała i morze krwi. Administracja polska i sowiecka różniły się między innymi tym, że Polacy w chwili agresji niemieckiej zwolnili wszystkich więźniów. Dzięki temu przeżył Bandera, skazany na karę śmierci za zamach i zabójstwo polskiego ministra spraw wewnętrznych. Rosjanie w podobnej sytuacji postanowili wszystkich wymordować, co w większości przy po mocy ukraińskiej administracji im się udało.

Następny okupant – Niemcy

Ze wszystkich stron słychać było kanonadę, nie istniała żadna linia frontu. Niemcy parli na wschód. Nasz dom miał grube mury, silne stropy i dużo przestrzeni w kondygnacji podziemnej, toteż chroniło się u nas wiele rodzin, codziennie przebywało kilkadziesiąt osób.

W przedpołudniowych godzinach w poniedziałek niemiecki samochód pancerny powolutku podjechał pod nasz dom. Cztery lufy sprzężonego karabinu

maszynowego skierowały się w nasze okna. Za osłoną karabinu błyszczało w słońcu kilka hełmów pochylonych żołnierzy. Nastąpiła chwila napiętego wyczekiwania. Huknie salwa ognia w naszą stronę, czy nie? Mama zachowała się odważnie, uchyliła okno i pomachała ręką. Na twarzach niemieckich żołnierzy pojawił się uśmiech, odwzajemnili skinienie i samochód ostro ruszył na wschód. Napięcie ustąpiło, wszyscy odetchnęli.

Po niedługim czasie ruszyła wartko przed naszym domem rzeka niemieckiego wojska. W porównaniu z Armią Czerwoną różnica na korzyść Niemców była ogromna. Nikt nie szedł na piechotę, ani niczego nie dźwigał, pełna motoryzacja. Mundury nowiutkie, rękawy zawinięte. Żołnierze wypoczęci, ogoleni, jakby przed chwilą wyszli od fryzjera. Nasze podwórko wypełniło się wojskiem. Mama zaczęła rozmawiać z kilkoma oficerami. Gdy okazało się, że są to Austriacy, zaprosiła ich do domu. Na stole znalazła się herbata i coś do herbaty. Austriacy nie byli zadowoleni z tej wojny.

— Idziemy na wschód jak w pustą przestrzeń, ale nie wiemy co nas tam spotka – mówili.

Rodzice nie komentowali tych wypowiedzi. Aby być w zgodzie z prawdą, trzeba przyznać, że w wielu przypadkach ludność, zarówno polska jak i ukraińska, witała Niemców jak wyzwolicielei spod bolszewickiej okupacji.

Jednakże rychło Niemcy zaczęli wprowadzać swoje metody rządzenia. Wprawdzie uwolnili handel, rzemiosło, ale pozostawili obowiązkowe dostawy, wprowadzili nowe podatki i swoją okrutną administrację. Ukraińcy znowu mieli nadzieję

na samostijną Ukrainę. We Lwowie natychmiast powstał rząd Jarosława Stečki. Pojawił się ukraiński batalion „Nachtigal”, dokonujący wielkich zbrodni na terenie miasta. Za zezwoleniem Niemców, według przygotowanej wcześniej przez Ukraińców listy, wymordowano wielu profesorów uczelni lwowskich. Aresztowań dokonywano w nocy, zabierając każdego, kto znajdował się w danym mieszkaniu. W ten sposób zginęło wiele osób przypadkowych.

Hitler, jak wiadomo, nie chciał słyszeć o żadnej niepodległej Ukrainie. Rząd Stečki i działacze ukraińskich aresztowano bardzo szybko, a Bandera znalazł się w obozie koncentracyjnym. Ukrainę jako Distrikt Galizien przyłączono do Generalnej Guberni, czyli jakby do Polski. Wprowadzono niby polski złoty, czego ukraińscy nacjonaści nie mogli ścierpieć. Dla „równowagi” powołano ukraińską policję, co miało katastrofalne skutki dla Polaków. Niemcy cały czas manipulowali polsko-ukraińskimi antagonizmami, wykorzystując je do wzajemnego podsycania wrogości i wyniszczania się obu narodów, żyjących razem na tej ziemi od wieków. Oczywiście, Niemcy nie walczyli z religią tak jak sowieci. Wrócili księża i popi, kościoły i cerkwie zostały znowu otwarte.

W niedługim czasie po wejściu Niemców policjanci ukraińscy wywieźli okoliczne rodziny żydowskie. Mienie ich rozgrabili między sobą. W Złoczowie utworzono getto. Wieści o tym, w jaki sposób traktowano tam ludność żydowską, mroziły krew w żyłach. Pewnego deszczowego dnia ukraińscy policjanci (nie było między nimi żadnego Niemca) traktem przed naszym domem prowadzili kolumnę Żydów do getta w Złoczowie. Nie liczyliśmy, ile liczyła

osób, na pewno kilkaset. Ten widok mam do dziś przed oczami. Uzbrojeni młocjcy jechali po obu stronach kolumny na koniach. Poza uzbrojeniem każdy miał w rękę bat, kij lub nahajkę. Pędzeni skazańcy jęczeli, byli w strasznym stanie, wynędzniali, głodni, spragnieni, poranieni, słaniali się na nogach. Nieśli jakieś tobołki, ciągnęli połamane wózki, nędznemienie, jakie udało im się zabrać ze sobą. Szli starcy, kobiety i dzieci, całe rodziny. Jeśli kogoś opuszczały siły i opóźniał się w marszu, spotykały go bezlitosne razy, padał na ziemię. Jeśli się nie podnosił, był dobijany nie strzałem, lecz bagnetem osadzonym na karabinie. Za kolumną jechało kilka wozów konnych, na które wrzucano ciała zmarłych. Utrzymująca zawsze dobre stosunki z Żydami mama straszenie to przeżywała. W pewnym momencie odważyła się na rzecz niebezpieczną. Wyniosła z domu duży dzban wody i zdążyła ją podać w kubku kilku osobom. Natychmiast podskoczył na koniu ukraiński policjant i jednym zamachem bagnetu rozbił dzban, wrzeszcząc, że zabije mamę jak psa.

Zdarzało się, że Żydzi uciekali i ukrywali się w lasach. Wykryte przypadki ukrywania Żydów przez Polaków były karane natychmiastową śmiercią gospodarzy i spaleniem gospodarstwa. Pomimo to byli Polacy, którzy ryzykując życiem pomagali Żydom. W naszym domu także kilkakrotnie byli ukrywani Żydzi. Na strychu z ojcem zrobiliśmy specjalną skrytkę, zamaskowaną pod schodami, gdzie mógł się ukryć człowiek i jakiś czas przeczekać, aż minie niebezpieczeństwo. Trzeba dodać, że w polskich wioskach z reguły mieszkało po kilka rodzin żydowskich, w sąsiednim Hucisku Brodzkim

były cztery zabudowania żydowskie. Dzieci z rodzin żydowskich chodziły wraz z dziećmi polskimi do tej samej szkoły. Tylko do dzieci bogatego Jankiela dodatkowo przyjeżdżała nauczycielka żydówka z Brodów.

Zbiory ziemiopłodów były w 1941 roku wyjątkowo słabe. Rujnowanie gospodarki i rolnictwa przez dwa lata bolszewickich rządów zaczęło dawać złowieszcze rezultaty. Ponadto Niemcy bezwzględnie egzekwowali obowiązkowe dostawy i podatki, za najmniejszą niesubordynację nakładali dotkliwe kontrybucje i surowe kary. Wzorem władzy bolszewickiej przy pomocy ukraińskiej policji przeprowadzali dotkliwe rewizje u chłopów, a znalezione zapasy żywności lub żywy inwentarz rekwirowali i wymierzali dodatkowe kary. Za nie oddawanie kontyngentów groziło aresztowanie i obóz koncentracyjny.

Przyszła ciężka zima. Kończyły się nam zapasy. Nie mieliśmy w pobliżu żadnej rodziny poza dziadkami, którzy dzielili się z nami, czym mogli. Gospodarze wycinali ostatni żywy inwentarz. A wiadomo, co znaczy dla chłopca pozbyć się ostatniej krowy żywicielki. Nie było też żadnej pracy, która dałaby jakiś grosz. Pewnego dnia znaleźliśmy na strychu worek fasoli z przedwojennych czasów. Była twarda jak kamień, ale po namoczeniu i dłuższym gotowaniu dało się zjeść. Odsunęło to widmo głodowej śmierci na jakiś czas. Później Niemcy uruchomili wyrąb lasu. Za dniówkę roboczą płacili w naturze: za siedem dniówek dostawało się ćwiartkę wódki, paczkę papierosów i kilogram razowej mąki. Papierosy i wódkę wymienialiśmy na mąkę. Mąka była straszna, ale można było z niej na wodzie ugotować kleistą

masę i jakiś czas przeżyć. Obaj z ojcem poszliśmy do tej strasznej roboty, a mróz był tęgi i śnieg głęboki. Wyrąb lasu jest jedną z najcięższych prac fizycznych. Dźwiganie ciężkich bali, machanie siekierą i piłą. Po jednym dniu byliśmy obaj wykończeni i przemarznięci. Była to praca ponad nasze wątłe siły. Niestety, nie było innego wyjścia, jeśli chcieliśmy przeżyć. Do dziś mam ślady odmrożeń na palcach u rąk i nóg.

Po pewnym czasie przerwaliśmy jednak tę katorżniczą pracę, gdyż było pewne, że skończy się ona tragicznie. Zachorowałem na zapalenie płuc. Wysoka temperatura, kaszel, wypluwana krew z flegmą zapowiadały najgorsze. Chwilami traciłem przytomność. Mama płakała i leczyła mnie, jak umiała. O lekarzu i jakichkolwiek lekarstwach nie było mowy. Mama owinęła mi klatkę piersiową grubą warstwą waty i bandażem, codziennie nacierała mnie jakąś miksturą, zrobioną domowym sposobem według receptury babci. Leżałem ponad miesiąc w łóżku. Sytuację pogarszał fakt, że normalne odżywianie, jakie powinno się stosować w takiej sytuacji było nieziszczalnym marzeniem. Stopniowo zacząłem jednak wracać do zdrowia, choć bardzo długo odczuwałem skutki tej choroby.

Nasza sytuacja materialna stała się wręcz katastrofalna. Mama wydobyła z ukrycia ostatnie złote monety schowane na czarną godzinę. Ojciec kupił za nie wędzoną szynkę, ale jej nie zjedliśmy. Tato zapakował ją tak, aby nie było widać, co jest w środku, i przymocował do roweru. Założył najcieplejsze ubranie i na rowerze, jako że nie było żadnej komunikacji, wybrał się do Lwowa. Był duży śnieg

i mróz. Do Lwowa było sto dwadzieścia kilometrów. Do dziś podziwiam jego odwagę i zdeterminowanie. Niedowład jednej ręki oraz wycieńczenie z głodu nie powstrzymały go od tej decyzji. Trzeba poza tym pamiętać, że wszędzie włóczyły się różne niebezpieczne bandy.

Po kilku dniach ojciec straszliwie zmęczony wrócił cało do domu. Przywiózł przymocowane do roweru dwie głowice maszyn do szycia. Pozostały mechanizm można było dorobić na miejscu. Za te maszyny tato znowu kupił szynkę i trochę żywności dla nas i na handel. Taką podróż do Lwowa odbył jeszcze kilka razy. We Lwowie ludzie umierali z wycieńczenia i głodu. Za niewielką ilość żywności można było dostać wiele innych dóbr materialnych. Ludzie wędrowali na piechotę po okolicznych wsiach i zebrali o kilka kartofli, o trochę czegokolwiek do jedzenia.

Przymierając głodem, doczekaliśmy wiosny 1942 roku. Na przednówku nawet zamożnym gospodarzom skończyły się zapasy, głód zaczął zbierać swoje żniwo. Co odważniejsi chodzili na piechotę na Wołyń, gdzie można było jeszcze kupić trochę zboża i żywności. Ostatni rower, którym ojciec jeździł do Lwowa, został zarekwirowany przez Niemców. Dziś mało kto sobie zdaje sprawę z tego, jakie prawa rządzą w czasie wojny. Niemcy rekwirowali rowery, kożuchy, futra, a nawet narty, wszystko na potrzeby wojenne. Zdecydowaliśmy się z ojcem pójść na Wołyń na piechotę. Była to podróż straszna – nocowanie pod gołym niebem, wycieńczenie z głodu nie pozwalało na normalny marsz, szliśmy więc noga za nogą. Trzeba było mieć się na baczności, bo na

tych terenach grasowały różne bandy. Po kilkunastu dniach wróciliśmy do domu straszliwie wycieńczeni, ale z trzydziestoma kilogramami żyta i jęczmienia. Trzeba było to zboże zemleć na żarnach i dopiero z tej grubej mąki upiec chleba bądź coś ugotować. Niemcy jednak rekwirowali żarna. Należało więc pojechać do młyna, zapłacić za zmielenie ziarna i oddać nakazany kontyngent zboża. Myśmy jednak mieli schowane żarna w piwnicy w specjalnym schowku. Jakież to był rarytas, gdy mama upiekła z tej razowej mąki świeży chleb!

Głód powodował nie tylko osłabienie i wycieńczenie. Pojawiły się również i inne dolegliwości. Brak witamin i soli mineralnych, jakie organizm ludzki otrzymuje normalnie w pożywieniu, sprawił, że na całym ciele zaczęły nam się tworzyć bolesne wrzody, które nie chciały się goić. Blizny po nich, nieraz dość duże, pozostawały na całe życie. Najbardziej cierpiała niczego z tego nie rozumiejąca moja młodsza siostra Jola. Mama była naszym samarytaninem, starała się ulżyć każdemu jak mogła. Przemywała rany, robiła opatrunki, chociaż też cierpiała jak każdy z nas. Większość leków i środków opatrunkowych już dawno się skończyła. Teraz o kupieniu czegoś takiego można było tylko pomarzyć. Mieliśmy sprzed wojny jeszcze tylko trochę środków dezynfekcyjnych gencjany, no i bandaże z białego płótna, wygotowywane za każdym razem. Utrzymanie podstawowej higieny też nie było proste. Mydło, proszki do prania i podobne rzeczy po prostu nie istniały.

Gdy zaczęło się trochę zielenić, ożyła nadzieja, że przeżyjemy. Teraz zaczęły się dylematy, co zjeść, a co posiać i posadzić. Wiadomo było, że jeśli nie

posadzimy i nie posiejemy, to następna zima będzie jeszcze gorsza. Ludzie jedli różne rzeczy. Czy ktoś wie, jak smakują kłacza perzu? Wyrwane z ziemi, dokładnie opłukane kłacza kroїło się drobniutko i suszyło na słońcu. Potem trzeba było zemleć je na żarnach, a z uzyskanej niby-mąki ugotować niby-zupę albo upiec niby-placki. Smak to miało okropny, ale mogło uratować od głodowej śmierci, sól i cukier istniały tylko w wyobraźni. Następną często jedzoną rośliną była lebioda; żywiliśmy się też liśćmi mleczu, pokrojonymi i ugotowanymi w wodzie. Radość była ogromna, gdy zaróżowiły się czereśnie.

Latem i jesienią czterdziestego drugiego roku zebraliśmy trochę więcej plonów. Gdy dojrzało żyto, nazbieraliśmy kłosów i ręcznie wyluskaliśmy z nich ziarno. W wielkiej tajemnicy zmieliliśmy je na żarnach, uzyskując mąkę razową. Mama upiekła z niej chleb. Boże, jakiż cudowny miał zapach, a jaki smak! Tego nie zapomnę nigdy.

Ojciec odbudował kilka rodzin pszczelich, było więc trochę miodu. O cukrze w tym czasie nie było co marzyć. Sad dał trochę owoców. Niemcy oczywiście znowu pod karą kontrybucji nakazali kontynuować hodowlę jedwabników. Poza tym, za bolszewików hodowla drobiu musiała być zlikwidowana, ale teraz w miarę upływu czasu zaczęły się pojawiać kury, gęsi, kaczki i indyki. W tajemnicy były chowane dwa prosiaki. W tajemnicy, ponieważ normalnie należało je zgłosić i po uboju oddać kontyngent mięsa. Po jakimś czasie kupiliśmy krowę. Powoli zaczynaliśmy być samowystarczalni. Oprócz tego ojciec był znany w okolicy jako dobry księgowy, toteż kilku zamożniejszych gospodarzy zwróciło się do

niego, aby uczył ich synów księgowości. Większość należności rodzice uczniów placili w naturze, co nam bardzo odpowiadało. Po jakimś czasie grono uczniów się powiększyło, gdyż w pobliżu nie było żadnej szkoły. Dzięki tej – jak mama mówiła – szkole zawodowej, głód na przednówku nie był tak śmiertelnie niebezpieczny.

Wszystko to było okupione ciężkim trudem. Zupełnie nie byliśmy przygotowani do pracy na roli. Nie mieliśmy żadnych narzędzi ani urządzeń, jakie posiadał każdy rolnik uprawiający ziemię. Nie mieliśmy żadnej siły pociągowej. Cały transport i inne ciężkie prace, wykonywane zazwyczaj z pomocą koni, musieliśmy wykonywać siłą własnych mięśni. Kto nie przeżył czegoś takiego, nie wie, co znaczy prawdziwy ból pleców, nóg, rąk, jak bolesne są otarcia i krwawiące pęcherze na dłoniach od łopaty, od grabi, od siekiery. Jak bolesny jest krwawiący pot zalewający oczy, kiedy od świtu do nocy trzeba ciągnąć kosą albo młócić cepem snopki żyta, zwłaszcza gdy ma się tylko trzynaście lat, a ja wtedy tyle właśnie miałem.

Podczas okupacji niemieckiej na naszym terenie nie funkcjonowały żadne szkoły. Pozostawała mi więc tylko nauka w domu, według programu określonego przez tatę. Oczywiście nie było żadnych podręczników. W takiej sytuacji siłą rzeczy moja edukacja była ułomna. Rodzice posiadali dużą bibliotekę, ale prawie w całości została ona w Warszawie. Z natury byłem bardzo ciekawski, czytałem więc wszystko, co znalazłem. Cały komplet Londona, mniej wartościowe powieści i szereg innych, nie zawsze dla mnie zrozumiałych wydawnictw. Ale najbardziej

zafascynował mnie Pan Tadeusz. Czytałem go, pasąc krowę na pastwisku, i nie mogłem się oderwać od lektury. W pewnym momencie lunął deszcz. Krowie to nie przeszkadzało, nadal skubała sobie trawę, ale mój Pan Tadeusz mógł być narażony na szwank. Siła oddziaływania Mickiewicza była jednak tak duża, że czytania nie przerywałem, nakryłem głowę plandeką i pochłaniałem dalej treść narodowej epopei w dwunastu księgach.

Wiosna i lato na Podolu są przepiękne, właściwie każda pora roku tam ma swój niepowtarzalny urok, jesień i zima też, oczywiście. Ale lato jest najcudowniejsze. Czasami udawało mi się wyrwać od ciężkiej fizycznej pracy. Biegłem wtedy na koniec naszego sadu, gdzie zaczynały się łąki i dalej nad rzekę i jezioro. Towarzyszył mi zawsze wierny przyjaciel Dżog, foksterier krótkowłosey. W szuwarach miałem ukrytą łódkę, taką prymitywną puchówkę, ale pływać po rzece i jeziorze można nią było doskonale. Niezmiernie lubiłem zaszyć się w wiklinę i podglądać życie toczące się w wodzie i nad powierzchnią wody. Było tam mnóstwo ptactwa wodnego. Kaczki krzyżówki, łyski i wiele innych gatunków, których nawet nazwać bym nie umiał. Przez jakiś czas podglądałem kaczkę, wysiadującą jaja na gnieździe. Zaglądałem codziennie, chcąc zobaczyć, jak się będą wykluwać maluchy. No, i nie zauważyłem tego momentu. Rano jeszcze kaczka siedziała majestatycznie na gnieździe, a w południe, kiedy podpłynąłem łódką po cichutku, skoczyła do wody, a za nią plusk, plusk, pięć malutkich, które wykluły się nie wcześniej niż parę godzin temu. Od razu potrafiły pływać i pod opieką mamy radzić

sobie same z wodą. Fascynujące było oglądanie tego, co działo się w jeziorze. Woda kryształowo czysta, widoczność doskonała na głębokości kilku metrów. Pełzające raki, poruszają się wolno i leniwie, ale wystarczy je lekko spłoszyć, a potrafią tyłem błyskawicznie wystartować, jak strzała wystrzelona z łuku i zniknąć w toni. Obok sitowia szczupak nieruchomo przyczajony czeka na zdobycz, aby jednym skokiem dopaść i w mgnieniu oka połknąć ofiarę. Jaką rozkoszą było w upalny dzień skoczyć z łódki w taką kryształową, chłodną toń i popływać choć chwilę. Ale chwil takich było niewiele. Dłuższa nieobecność mogła się dla mnie źle skończyć. Ojciec nie tolerował leniuchowania, bo tylko ciężką pracą można było z ziemi wyrwać płody, pozwalające przeżyć do następnego roku.

Ta ciężka praca na roli i w ogrodzie dawała pozytywne wyniki. Byliśmy lepiej przygotowani do zimy, już nie cierpieliśmy głodu. Ziemia nasza dała nam podstawę do przeżycia. Ale kłopoty i nieszczęścia się nie skończyły. Z Wołynia nadchodziły coraz groźniejsze wieści.

Fortyfikacja obronna

W latach 1943-1945 na przepięknych południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej zostały rozpętane najdziksze instynkty w imię perfidnego dążenia do wykorzenienia na tych ziemiach wszystkiego co polskie. Rozszalał się najprawdziwszy amok antypolskich rzezi. W odmęty tego amoku rzucili naród ukraiński nacjonaliści spod znaku OUN-UPA.

Każdej nocy ze stanowiska obserwacyjnego na naszym dachu widać było łuny pożarów. Palily się polskie gospodarstwa i wsie. Groźba napadu na nas stawała się coraz bardziej realna, toteż po kolejnej naradzie rodzinnej postanowiliśmy przygotować się do obrony. Dotarły już do nas informacje, że w niektórych przypadkach dobrze zorganizowana obrona uniemożliwiła ukraińskim ryzonom spełnienie morderczych zamiarów. W Przebrażu na Wołyniu obroniły się w ten sposób tysiące Polaków.

Odkopaliśmy w sadzie skrzynię zawierającą broń naszą i pozostawioną przez oficerów polskich w 1939 roku. Okazało się, że zarówno metalowe części jak i drewniane, pokryte wazeliną techniczną i zabezpieczone przed wodą, przechowały się całkiem dobrze. Po oczyszczeniu broni zbudowaliśmy w długim korytarzu w piwnicy stanowisko strzeleckie w taki sposób, aby móc dokonać wystrzału przez pociągnięcie za spust sznurkiem, będąc ukrytym za załomem korytarza. Ostrożność była konieczna, gdyż nie byliśmy pewni, czy w czasie czterech lat pod ziemią nie zostały uszkodzone jakieś części wewnętrzne broni palnej. Sprawdziliśmy tak każdy karabin, sztucer i broń myśliwską.

W tym czasie mieszkał u nas leśniczy Bojarski, Polak, który jako leśnik miał oficjalnie pozwolenie na broń. Ułatwiłoby to sytuację, gdyby ktoś niepożądany zauważył, że jest u nas jakieś uzbrojenie. Pan Bojarski miał kontakty z AK, poza leśnictwem zajmował się handlem bronią i kolportażem tajnych wydawnictw polskich. Niejednokrotnie wychodził z domu bez broni, a wracał z karabinem na ramieniu. Korzystając z jego usług, ojciec dokupił trzy karabiny rosyjskie

i automat niemiecki, dużą ilość amunicji i kilkadziesiąt granatów. Zrobiliśmy w domu wiele przemyślnych skrytek, gdzie całe to uzbrojenie było schowane, ale w bardzo krótkim czasie mogło być gotowe do użycia. Na przykład w pomieszczeniu na drewno niektóre kłody były rozłupane i wydrążone, wewnątrz, w wydrążeniu ukryta broń, granaty lub amunicja. Dwie połówki złożone sprawiały wrażenie całości, ale w ciągu kilku sekund było możliwe wyjęcie i użycie w wiadomym celu zawartości wnętrza. Każdy z domowników został przez ojca dokładnie przeszkolony w posługiwaniu się tym śmiertelnościami sprzętem.

Ojciec opracował szczegółowy plan obrony na wypadek napadu. Wszyscy musieliśmy znać go dokładnie na pamięć. Każdy miał wyznaczone stanowisko i wyćwiczone czynności, jakie go obowiązywały. Całą dobę pełniliśmy na zmianę dyżury obserwacyjne w specjalnie urządzonym stanowisku na dachu, czy ktoś niepożądany nie zbliża się do naszego domu. Obserwacje ułatwiał fakt, że wokół były pola. Dom był duży, murowany, ściany o grubości ponad metra sprawiały, iż podpalenie go nie było możliwe. Z czworga drzwi na parterze zostawiliśmy tylko jedno; pozostałe zostały zamurowane lub zabite deskami i opancerzone blachą, aby utrudnić podpalenie. Czynne drzwi również były opancerzone i na noc blokowane. Okna na parterze również zostały zamurowane lub opancerzone, żeby uniemożliwić wrzucenie granatu lub podpalenie. Tak samo zabezpieczyliśmy okna na wyższych kondygnacjach. W każdym oknie były jednak otwory, przez które można by było strzelać, rzucić granat lub obserwować sytuację. Na płaskim dachu i tarasie wysypaliśmy warstwę piasku. Były

też przygotowane snopy słomy do podpalenia w celu zasygnalizowania, że na nas napadnięto. Z worków wypełnionych piaskiem na dachu były zbudowane stanowiska strzelnicze w taki sposób, aby był widoczny i możliwy do ostrzału cały teren wokół domu. Wzdłuż krawędzi dachu i tarasu były ułożone kamienie, które można by w każdej chwili zrzucić na głowy bandytów.

Nie bez znaczenia było to, że w naszym domu zawsze się ktoś ukrywał, najczęściej był to jeden lub więcej uzbrojonych członków polskiego podziemia. Każdy z takich gości był włączany do załogi obronnej.

Kilkakrotnie przebywali u nas Żydzi. Przez kilka miesięcy ukrywał się u nas pewien uciekinier z getta w Łodzi, lekarz w wieku około czterdziestu lat.

Był też u nas przez pewien czas chłopiec-Polak z pobliskiej wsi, którego cała rodzina została wymordowana. Na imię miał Michał, nie pamiętam nazwiska; był zaledwie dwa lata starszy ode mnie. Wieczorem, gdy banda ukraińskich rizunów wpadła na ich podwórze, on bawił się z psem. Kiedy się zorientował, co się dzieje, wlaź wraz z psem do psiej budy. To go uratowało. Na jego oczach wywleczono z domu matkę, ojca i dwoje rodzeństwa, starszego brata i siostrę. Związali im drutem ręce z tyłu. Po kolei, poczynając od ojca, każdemu poderżnęli nożem gardło. Zrabowali wszystko, co było możliwe do zabrania. Zabrali konie. Inwentarz żywy wypuścili z chlewów. Podpalili dom i wszystkie budynki gospodarcze. Nie muszę opisywać co przeżył ten chłopak. Nad ranem, kiedy dopalały się jeszcze budynki, uciekł przerażony, dokąd oczy poniosą. Michał miał bagnet i karabin mauzera z wyposażenia

polskiej armii. Jednym i drugim umiał się dobrze posługiwać. Jego determinacja była przerażająca. Na pamięć po swojej rodzinie przysiągł, że dopóki żyć będzie, będzie zabijał Ukraińców. Po każdym zabitym nacinał kreskę na kolbie karabinu, miał tych kresek dwa rzędy. Nie był u nas długo, gdyż nie odpowiadało mu siedzenie na jednym miejscu. Poszedł dalej, by realizować swoją przysięgę.

W tym czasie w pobliskiej Hucie Pieniackiej mieszkało znacznie więcej osób niż poprzednio. W sumie na pewno przebywało tu ponad dwa tysiące osób, przy czym stan ten ciągle się powiększał i zmieniał. Wynikało to z tego, że do Huty Pieniackiej jako do siedliska rdzennie polskiej ludności sprowadziło się wiele polskich rodzin z pobliskich wsi, mając nadzieję, że razem będzie łatwiej się bronić przed napadem ukraińskich rizinów. Ponadto stale przebywał tam mniejszy lub większy oddział AK, ukrywało się kilkudziesięciu Żydów. Utrzymywano też kontakt z oddziałami partyzantki sowieckiej, która tylko od Polaków mogła otrzymać realną pomoc. Teraz wydaje się to dziwne, ale rzeczywistość wtedy była taka, że na tych terenach tylko polskie podziemie i partyzantka sowiecka walczyły z hitlerowskim najeźdźcą i terrorystami z UPA. Ukraińskich bandytów spod znaku OUN i UPA z niemieckimi nazistami łączył wspólny cel – eksterminacja Polaków i Żydów. Pomagali sobie nawzajem w tym dziele.

Niezbędne kontakty między nami a Hutą Pieniacką odbywały się na piechotę. Chodził ojciec, chodziłem ja albo wujek Wojtek Kierepka, najmłodszy brat mamy, nie licząc naszego lokatora pana Bojarskiego.

Przenosiliśmy meldunki, biuletyny informacyjne, czasami broń i amunicję. Były to podróże bardzo niebezpieczne. Przekonałem się o tym dotkliwie sam.

W końcu sierpnia 1943 roku szedłem leśną drogą prowadzącą wokół góry Patłaty przez Żarków do Huty Pieniackiej. Lato miało się ku końcowi, ale las jak zwykle był przepiękny, pelen uroku i tajemniczości. W pewnym momencie w perspektywie leśnej drogi zobaczyłem kilku jeźdźców. Zbliżali się szybko, nie było szans skoczyć w las. Konno dogoniliby mnie natychmiast. Nie było wyjścia. Szedłem pewnym krokiem dalej. Gdy się zrównaliśmy, zobaczyłem żółto-niebieskie tryzuby na czapkach i rękawach. Serce mi zamarło, a gardło ścisnęło przerażenie. W czapce miałem zaszyty ostatni biuletyn AK, gdyby go znaleźli, byłby to bezwzględny dowód polskości i utrata życia w męczarniach.

— „Ty kto, z witki idesz?” (kto ty jesteś, skąd idziesz?) – rzucił gromko jeden z jeźdźców. „Czyj syn?” Rizun zeskoczył z konia. Podeszło do mnie wielkie chłopisko:

— „Howory prawdu, zariżu jak barana! Klakaj!” (mów prawdę, bo zarżnę jak barana. Klękaj!).

Wyjął spod kurtki niemiecki bagnet wojskowy. Zrobiło mi się gorąco. Ukląknę. W głowie miałem gonitwę myśli. W wątpliwych sytuacjach mieli w zwyczaju kazać mówić pacierz po ukraińsku. Polak czy Ukrainiec? Język i tutejszy akcent znałem dobrze, ale z pacierza ruskiego tylko pierwsze słowa. Nie było wątpliwości – ostatnia chwila mojego życia nadeszła. Żał umierać tu w lesie, z daleka od swoich, bez żadnych szans na walkę i obronę. Czy mnie

znajdą moi? Skoczę w las, ale to równa się wyrokowi śmierci. Przebiegłem wzrokiem po ich twarzach. Żadnego nie znałem. Nie byli z pobliskich wsi, poznałbym. Ale to żadna pociecha. Jeśli cokolwiek mnie zdradzi, że jestem Polakiem, koniec ze mną. Moja jedyna nadzieja tkwiła w znajomości języka. „Czym jestem synem?” Szybko przebiegłem myślą po ukraińskich rodzinach.

— Ja? Czyj syn? Danyły Kuryluka z Perelisek – odparłem pewnym głosem.

Danyło miał chłopca w moim wieku i był jednym z bardziej zaciętych nacjonalistów ukraińskich. Rizun ostrzem bagnetu podniósł mi brodę do góry. Ostrze wbiło się w skórę, musiałem wysoko podnieść głowę, aby uniknąć zranienia.

— „Kuda idesz?” – ryknął.

— Ja...? Idu do diadika Stiepana do Żarkowa – odpowiedziałem zdecydowanie. (Żarków była to czysto ukraińska wieś w odległości kilku kilometrów).

Rizun łakomie zerkał na moje buty. Miałem bardzo solidne niemieckie saperki, ale byłyby na niego na pewno za małe. Schylił się. W prawej ręce trzymał bagnet, a lewym przedramieniem otoczył mi głowę, przyciskając silnie do swego boku. Miał wprawę, jak zablokować głowę i poderżnąć gardło. Myślałem, że teraz to nastąpi – albo pchnie bagnetem, albo poderżnie mi gardło. Chwilę się zatrzymał. Poczulem mrówki na całym ciele.

— „Hryćko! Nehaj, ja znaju Kuryluka, to jeho chłopec” – odezwał się jeden z siedzących na koniu.

Hryćko zwolnił ucisk i wskoczył na konia. Odjechali niespiesznie. Ja zostałem na drodze.

Ciemniało mi w oczach myślałem, że zwymiotuję. Zerwałem się z klęczek wskoczyłem w przydrożne krzaki. Zaszyłem się w gęstwinię. Przez pół godziny, a może dłużej, nie mogłem dojść do siebie. Po uspokojeniu się ruszyłem dalej do dziadków do Huty Pieniackiej. Ale nie szedłem już środkiem drogi, lecz lasem, tak żebym mógł widzieć, kto idzie drogą, a sam nie był widoczny. U dziadków zostałem dwa dni, żeby ochłonąć z nadmiaru wrażeń.

W nocy do Huty dotarł niewielki oddział rosyjskich partyzantów. Przez długi czas nie mogli nawiązać żadnych kontaktów, nie mieli znikąd pomocy. Byli w przerażającym stanie. Głodni i spragnieni. Z ubrań pozostały resztki lachmanów. Byli bez kurtek, bez koszul. Poranieni i owrzodzeni, twarze zarośnięte i czarne, oczy zapadnięte. Od niesienia broni, granatów i naboju na gołej skórze mieli ropiejące rany na ramionach i plecach. W najgorszym stanie były nogi, owinięte szmatami w resztkach butów. Ludzie starali się jakoś im pomóc, dać jeść, opatrzyć rany. Partyzanci zostali tylko jeden dzień i noc, musieli iść dalej. Ja wróciłem z wujkiem do domu. Mama była przerażona tym, co się stało. Ale przecież ryzykowaliśmy wszyscy życiem codziennie.

W domu dalej ćwiczyliśmy zadania obronne. Ojciec zarządzał ostre ćwiczenia rzutu granatem w nocy na naszej łące nad rzeką. Ćwiczenie polegało na tym, aby po ciemku założyć zapalnik, na granat, wyciągnąć zawleczkę i wrzucić do wody na jak największą odległość. Po rzucie słychać było plusk wody, za chwilę huk i targnięcie powietrzem. Trzeba było szybko uciekać, żeby ktoś z ciekawskich po usłyszeniu wybuchu nie odkrył naszej obecności.

Ćwiczenia takie były konieczne, aby w razie potrzeby każdy natychmiast umiał posłużyć się tą bronią, jeszcze dziś potrafiłbym to zrobić bezbłędnie z zamkniętymi oczyma. Granaty były rosyjskie i niemieckie, zaczepne lub obronne, bardzo skuteczne, wybuch raził wszystko, co żywe, w promieniu kilkudziesięciu metrów.

Napad na dom Kierepków, rodziców mojej mamy

Huta Pieniacka, późny wieczór, ciemno i cicho. W okno sypialni, w której spała żona wujka Wojtka z dzieckiem, ktoś nerwowo zastukał. Wujka nie było akurat w domu, wyszedł na zewnątrz, było jeszcze dość ciepło. Wujenka Stasia podeszła do okna. Odezwał się głos sąsiada:

— Wojtuś, wyjdź, proszę.

Wujence wydało się to bardzo podejrzanе. Zerknęła ostrożnie przez firankę i zobaczyła stojących pod ścianą uzbrojonych mężczyzn. Jeden z nich trzymał nóż przyłożony do szyi sąsiada.

— Męża nie ma w domu – odpowiedziała głośno z nadzieją, że może mąż usłyszy.

Bandyci nie czekali dłużej. Strzelając w zamki, rozbili drzwi wejściowe na werandę, następne do holu i zaczęli rozbijać drzwi do sypialni. Wujenka chwyciła dziecko na rękę i wskoczyła na okno. W tym momencie zostały sforsowane ostatnie drzwi. Bandyta zdążył strzelić do wyskakującej z dzieckiem przez okno kobiety. W tej chwili wujek wbiegł na podwórko. Razem z żoną i córeczką uciekli przez

ogród do środka wsi. Bandyci nie zauważyli ucieczki. Kilku uzbrojonych sąsiadów z samoobrony wbiegło na podwórze, bandyci znikli. Dopiero gdy uciekinierzy znaleźli się w mieszkaniu u sąsiadów, okazało się, że wujenka jest ranna. Kula przeszła lewe ramię nad łokciem. Rana broczyła krwią, trzeba było jechać do szpitala.

Po jakimś czasie odwiedziliśmy ją w szpitalu w Brodach. Była w strasznym stanie. Głodna i wycieńczona, rana ropiała. Wszy chodziły po całej brudnej, oddawna nie zmienianej pościeli. Dyrektorem szpitala był ukraiński lekarz, nie wzruszały go cierpienia polskich pacjentów. Mama zmieniła jej opatrunek, nakarmiła wujenkę. Zabraliśmy ją z tego szpitala, dalej leczyła się w domu pod opieką babci.

Bandyckie napady i okrucieństwa szerzyły się coraz bardziej. W lesie za Pereliskami przed wsią Hołubica ukraińskie riziniki spotkały w lesie polską kobietę i rozpoznały, że jest Polką. Nie było zlitowania. Byli na koniach. Przywiązali do każdej ręki i do każdej nogi jednego konia. Na komendę zacięli cztery konie batem. Rozszarpali ciało na strzępy. Na drugi dzień rodzina wiozła szczątki tej kobiety koło nas na cmentarz. Ojciec i ja podeszliśmy do wozu. Siedzący na wozie odrętwiała z rozpacz mężczyzna, mąż tej kobiety, uchylił płótno przykrywające zbitą z czterech desek trumnę. Ujrzelśmy coś przerażającego. Porozrywane kawałki ciała i wnętrzności złożone w całość, przykryte ubraniem tworzyły upiorną postać. Widoku tego nie zapomnę nigdy.

Zbrodnia czai się pod naszym domem

Przyszły święta Bożego Narodzenia 1943 roku. Smutne i tragiczne były to święta. Siedzieliśmy w naszej fortecy, nie zdecydowaliśmy się nawet pójść do kościoła na pasterkę. Nie wychodziliśmy poza dom od wielu tygodni. Jak zwykle w dzień i w nocy pełniliśmy dyżury obserwacyjne na dachu. W nocy z pierwszego dnia świąt na drugi ojciec zarządził alarm. Wszyscy na stanowiska obronne! Psy ujadły zawzięcie. W jasną noc widać było wyraźnie kilka sań podjeżdżających pod nasz dom. Byliśmy przekonani, że zaraz się zaczną. Było u nas dwóch mężczyzn z bronią z polskiego podziemia, o dwa karabiny więcej do obrony. Widocznych w ciemności uzbrojonych mężczyzn trudno było policzyć, może było ich dziesięciu, może piętnastu. Wydawało się, że na saniach jeszcze jest jakiś ładunek, trudno było jednak w nocy z odległości rozpoznać dokładnie. Byliśmy gotowi do obrony. Na pewno nie sprzedalibyśmy łatwo naszej skóry. Zatrzymali się przed bramą naszego domu. Przyczaili się. Widać było, że się naradzają.

Spodziewaliśmy się, że zaraz sforsują ogrodzenie i zaatakują. Po jakimś czasie o dziwo pojechali dalej w kierunku wsi Wydra. Było to dla nas niezrozumiałe. Przyjechali realizować „swiatoje diło” i w ostatniej chwili odstepili od zamiaru? Na drugi dzień rano na drodze, którą jechali, przed naszym domem odnaleźliśmy ślady obfitych strug krwi.

Wkrótce sprawa się wyjaśniła. Okazało się, że w nocy z pobliskich Wołoch, Ponikwy i Perelisek

terroryści z UPA zabrali czternaście osób, w tym dwie kobiety⁷⁾. Między innymi przyjaciela naszej rodziny Ignacego Żeglińskiego, jego brata Leona oraz zięcia Ignacego, Dymytra Benedyka, chociaż był Ukraińcem. Wina zięcia polegała tylko na tym, że się ożenił z Polką i nie godził się współpracować z ukraińskimi zbrojniami Bandery. Zabrali również dwóch policjantów ukraińskich, którzy uciekli ze służby w policji, lecz nie chcieli współpracować z UPA. W nocy widzieliśmy więc przed naszym domem uzbrojonych bandytów i ich ofiary.

Po kilku dniach w odległości paru kilometrów od nas, na skraju lasu, psy wywlokły spod śniegu, z dwóch ledwo przysypanych zmarzniętą ziemią, gałęziami i śniegiem dołów ciała pomordowanych. Poszedłem z ojcem pomóc wydobyć ciała braci Żeglińskich i Dymytra Benedyka i przewieźć je do ich domu. Była z nami żona Ignacego i jego córka. Nie da się opisać słowami rozpacz tych kobiet. Był mróz, ciała zmarznięte nie ulegały rozkładowi, były w takim stanie, w jakim je oprawcy wrzucili do dołów. Ofiary miały powiązane ręce drutem. Widać było, że niektórzy się bronili, mieli rany na ciele. Zwłaszcza pan Ignacy Żegliński. Był to wysoki, silny mężczyzna, najwyraźniej bronił się, miał liczne ślady ran, pozdzieraną skórę i poharatane mięśnie na rękach. Oprawcy zrobili mu tak zwane „rękawiczki”⁸⁾. Polegało to na tym, że nacinali

⁷⁾ Ksiądz Józef Anczarski w swoich *Kronikarskich zapisach z lat cierpień i grozy* pisze o tej zbrodni na s. 354. Podaje jednak niewłaściwą liczbę zamordowanych

⁸⁾ A. Korman *Stosunek UPA do Polaków na ziemiach południowo – wschodnich II Rzeczypospolitej* Wyd. Nortom Wrocław str. 101. Zestawienie 362 metod tortur stosowanych przez UPA na Polakach.

skórę wokół przedramienia i ściągali ją aż do dłoni. Pan Żegliński miał rozbitą na kilka części czaszkę, wgniecioną klatkę piersiową i połamane zębra. Nie było śladów od kul.

Pozostałe ofiary były maltretowane w równie bestialski sposób. Z wszystkich ofiar były zdarte ubrania i buty. Zostały tylko resztki bielizny. Chociaż nie był to pierwszy widok pomordowanych, jaki widzieliśmy, szczególnie dla ojca, który był przecież poważnie ranny i przeżył pierwszą wojnę światową, byliśmy obaj wstrząśnięci. Niektórych z tych ludzi znaliśmy przecież doskonale. Przede wszystkim Ignacego Żeglińskiego, który był bardzo porządnym i uczciwym człowiekiem, wzorowym gospodarzem. Niedawno był u nas. Zawsze pomagał nam w trudnych chwilach w gospodarstwie, nie biorąc nigdy zapłaty za wykonaną pracę. Nieodmiennie mówił: „Policzymy się po wojnie”.

Już się nie policzymy. Dla pana Żeglińskiego wojna już się skończyła. W archiwum rodzinnym przechowuję bardzo cenny dla mnie list mojego ojca napisany 15 stycznia 1944 roku do znajomych, państwa Suskich z Warszawy, który wiele lat po wojnie państwo Suscy łaskawie mi przekazali. W liście tym ojciec opisał to wydarzenie, celowo nie podał jednak nazwisk zamordowanych ani tego, kto dokonał tej zbrodni, w obawie, że gdyby list wpadł w ręce policji ukraińskiej bądź dotarł do terrorystów z UPA, nasz koniec byłby niechybny i szybki.

Na podkreślenie zasługuje, że podczas chowania pomordowanych Polaków i Ukraińców doszło do tak częstej niegdyś współpracy między miejscowymi reprezentantami Kościoła rzymsko-

i grekokatolickiego. Otóż cmentarz we wsi był wspólny i wszyscy wiedzieli, że najpierw pochowani zostaną Rusini, a potem Polacy. Tymczasem tajne służby informacyjne doniosły, że w czasie pogrzebu Polaków bojówki banderowskie zamordują naszego proboszcza Antoniego Reczucha. W tej sytuacji proboszcz spotkał się potajemnie z popem i wspólnie ustalili, że wcześniej odbędzie się pogrzeb Polaków, a dopiero potem Rusinów. I tak się stało. Po odprawieniu egzekwii proboszcz natychmiast odjechał do Brodów. Dzięki temu nie doszło do następnego morderstwa.

Na froncie wschodnim Niemcy ponosili coraz większe klęski. Było jasne, że wojny nie wygrają, że ich totalnego odwrotu nie już nie powstrzyma. Ukraińscy nacjonaści zaczęli zdawać sobie sprawę że są na drodze donikąd. Sojusznik hitlerowski, chociaż dalej zaopatrywał ich w broń i udzielał im pomocy w eksterminacji Polaków, na dalszą metę nie mógł być brany pod uwagę. Bolszewicy zaś pałali śmiertelną nienawiścią do nacjonalistów ukraińskich za ich współpracę z hitlerowcami. Wiadomo było, że OUN-UPA oraz cała dynamicznie budowana banderowska zbrodnicza organizacja atamanii ukraińskiej zostanie przez Sowietów brutalnie i definitywnie zlikwidowana, toteż im bardziej zbliżał się front, w tym większym amoku i z tym większym pośpiechem terroryści z UPA realizowali swoje „swiatoje diło”. Całkiem oficjalnie i powszechnie głosili hasło: „Wyrzniemy wszystkich *czużyńców*⁹⁾ aż zostaniemy sami”.

⁹⁾ Czужинiec - obcokrajowiec, cudzoziemiec.

W niewielkiej wsi Wydra, jak w wielu innych, mieszkało mieszane małżeństwo (niestety nie pamiętam ich nazwiska): mąż Polak, żona Ukrainka. Mieszkali na uboczu, mieli dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. W nocy terroryści spod znaku tryzuba wyłamali drzwi i wdarli się do chaty. Całej rodzinie kazali uklęknąć. Ojcu i synowi związali ręce. Przerażonej kobiecie wcisnęli nóż do ręki. Grożąc śmiercią, bijąc i torturując, zmusili ją do poderżnięcia gardła mężowi i synowi. Sama uznana za zdrajczynię też została zakłuta na śmieć. Rano sąsiedzi znaleźli trzy trupy i oszalała z przerażenia dziewczynkę wcisniętą w kąt pod łóżkiem.

Coraz bardziej byliśmy przekonani, że zbliża się nasza ostatnia godzina. W każdej chwili spodziewaliśmy się najgorszego. Ani w dzień, ani w nocy nie wychodziliśmy z domu. Mieliliśmy dwa psy, które cały czas, dzień i noc, biegały po ogrodzonym i zamkniętym stalową bramą terenie. Z dachu ze stanowiska obserwacyjnego było widoczne całe ogrodzenie i w przypadku próby sforsowania go byłoby to zauważone. Jednak w ciemną noc mogliśmy liczyć tylko na nasze czujne psy. Do skutecznej obrony byliśmy zdolni przystąpić w ciągu kilku minut. Chyba uratowało nas to, że w okolicy dobrze o tym wiedzano.

Hucisko Brodzkie przestaje istnieć

Hucisko Brodzkie, nazywane zaściankiem szlacheckim, było rdzennie polską wsią położoną w otoczonej lasem dolinie, około trzech kilometrów

na południowy wschód od naszego domu. Mieszkało tam kilkadziesiąt polskich rodzin – kilkuset mieszkańców.

Trzynastego lutego 1944 roku, jak w każdą niedzielę, prawie wszyscy Polacy z Huciska pojechali na sumę do kościoła w Ponikwie. Naród polski był na Podolu bogobojny, pokornie i głęboko wierzący. Bojówki ukraińskich faszystów tylko na to czekały. Otoczyły wieś i przystąpiły do ataku. Mieszkańcy byli przygotowani do obrony na tyle, na ile to było możliwe, ale o tej porze większość mężczyzn posiadających broń i umiejących nią władać znajdowała się w kościele; w domu zostało niewielu, bo Ukraińcy do tej pory z reguły napadali nocą. Tym razem znacznie silniejsi liczebnie i nieporównanie lepiej uzbrojeni niż samoobrona bandyci wdarli się do wsi w biały dzień – w czas sumy w parafialnym kościele. Nieliczni we wsi mężczyźni zaczęli się bronić. Wywiązała się walka na śmierć i życie.

Na nabożeństwie w Ponikwie było w tym czasie kilkaset osób. Byłem tam i ja, jak co tydzień z ojcem. W pewnym momencie zaczęły dochodzić odgłosy strzałów i wybuchów. Gruchnęła wieść, że banderowcy napadli na Hucisko Brodzkie. Nabożeństwo zostało przerwane. Ludzie w pośpiechu zaczęli wracać do domów.

W Ponikwie, w pałacu hrabiego Bocheńskiego, stacjonowała frontowa jednostka Wehrmachtu. Grupa ludzi z kościoła zdecydowała się pójść do Niemców i poprosić o pomoc. Postanowili nie mówić, że na wieś napadli ukraińscy bandyci z UPA, ale że ataku dokonała sowiecka partyzantka. Gdyby Niemcy dowiedzieli się, że to UPA, na żadną

pomoc nie byłoby co liczyć. Wśród kwaterujących Niemców byli Ślązacy, z którymi można się było porozumieć. Żołnierze powiedzieli jednak, że muszą się porozumieć z kapitanem-dowódcą, którego w tej chwili nie ma.

Nikt w tym momencie nie wiedział, że w tym samym czasie organista Tadeusz Kozaczewski, który doskonale znał język niemiecki, odszukał kapitana na kwaterze i przekonał go do udzielenia pomocy tym samym argumentem, mianowicie, że na wieś napadła partyzantka sowiecka. Kapitan przez radiotelefon wydał rozkaz, aby jeden czołg wraz z załogą zlikwidował bandytów atakujących wieś.

Czołg wręcz oblepili młodzi ludzie z Huciska Brodzkiego. Pojechał z nimi również mój ojciec. Mnie jednak nakazał surowo, żebym pobiegł jak najszybciej do domu i żebyśmy pozamykali wszystkie drzwi i okna. Po kilku godzinach tato wrócił do domu. Opowiedział, że zanim dojechała odsiecz, banderowcy rozpoczęli okrutną rzeź mieszkańców. Nie oszczędzali nikogo. Zabijali wszystkich – kobiety, dzieci, starców. Każdy znaleziony – czy to walczący, czy wyciągnięty z jakiegoś ukrycia – ponosił śmierć. Rzadko kiedy od kuli. Najczęściej śmierć zadawano nożem lub siekierą.

Przed wjazdem do wsi niemiecki czołg oddał z działa kilka strzałów. Zaskoczenie było wielkie. Po stronie banderowców zaległa cisza. Po chwili rozległy się wrzaski w języku ukraińskim: „Uciekajmy! Polacy mają armaty”.

I rzeczywiście nastąpił pośpieszny odwrót bandytów. Czołg wjechał do wsi, która przedstawiała przerażający widok. W miejscach, gdzie wdarli się

bandyci, płonęły już domy i zabudowania. Wśród dopalających się budynków z rykiem biegały w popłochu zwierzęta gospodarskie. Gdyby nie odsiecz niemiecka, samoobrona nie byłaby w stanie uchronić wsi od zagłady.

Wokół Niemców zaczęli się gromadzić mieszkańcy Huciska, dziękując za udzielenie pomocy. Wywiązała się przyjazna rozmowa.

— Macie czym się bronić?

— Nie za bardzo. Brakuje nam amunicji. Brakuje broni i granatów.

Dowódca czołgu kazał swoim żołnierzom oddać Polakom cały zapas amunicji, jaki posiadali. Polacy odwdzięczyli się kilkoma świniami i owcami. Niemcy jednak musieli wracać do swojego oddziału. Polacy ze swoim nieszczęściem zostali sami. Ludzie przerażeni biegali po wsi, szukali swoich bliskich, ratowali, co mogli. Starali się łapać oszalałe konie i bydło. Nie było szans na ugaszenie pożarów, trzeba było czekać aż się wypali. Nie było komu grzebać pomordowanych ofiar. Kto ocalał, ratował się ucieczką. Śwąd spalenizny i gryzący dym gryzł w oczy. Całą noc było widać łuny nad Huciskiem Brodzkim.

Na drugi dzień, gdy się rozjaśniło, pośpieszyliśmy z ojcem na to pobojoywisko. Chcieliśmy w miarę swoich możliwości pomóc ofiarom. Zastaliśmy tam już Polaków z pobliskich wsi, z Wołoch i Perelisek. Zbierano i znoszono w jedno miejsce zabitych. Gorzej było z rannymi. Nie było żadnej pomocy medycznej ani środków opatrunkowych. Wkoło jęki i wołania o pomoc. Ludzie męczyli się strasznie. Zabitych było około czterdziestu osób (*zob. Załącznik 1*). Kilka furmanek zabierało rannych, aby ich odwieźć

w bezpieczne miejsce. Ocalali mieszkańcy Huciska starali się ratować swój dobytek. Dopalały się podpalone zabudowania, nie było komu gasić ognia. Trzeba się było spieszyć i uciekać w większych grupach bo w pobliskich lasach krążyły bandy rizinów UPA. Bandyci z lasu strzelali do ludzi zbierających rannych i próbujących ująć ze wsi. Musieliśmy i my z ojcem wycofać się z Huciska.

Terroryści ukraińscy wrócili po kilku dniach. Dokończyli zbrodniczego dzieła. Rozgrabili mienie. Zabrali wszystko, co się dało zabrać. Resztę podpalili. Polacy, którzy uszli z życiem, przenieśli się do większych skupisk polskich. Między innymi do Huty Pieniackiej, gdzie znowu czekał ich okrutny los. Hucisko Brodzkie – szlachecki zaścianek, dostatnia i wzorowo zagospodarowana wieś przestała istnieć.

Oczywiście wydało się niebawem, że napadu nie dokonała partyzantka sowiecka, tylko banderowcy UPA. W ramach współpracy ukraińskich faszystów z Niemcami Tadeusz Kozaczewski¹⁰⁾ został aresztowany przez gestapo, a niemieckiego kapitana razem z całym jego oddziałem odesłano na front wschodni, który zbliżał się do Brodów.

A oto szczegółowa relacja dotycząca śmierci szesnastomiesięcznego Tadeuszka Michalewskiego, znajdującego się pod numerem 19 na liście zamieszczonej w *Załączniku 1*, uzupełniona przez jego starszego brata Jana Michalewskiego.

W niedzielę trzynastego lutego 1944 roku Tomasz Michalewski został sam w domu z szesnastomiesięcznym synkiem, bo żona poszła do

¹⁰⁾ T. Kozaczewski wielokrotnie torturowany przez gestapo stracił oko ale przeżył wojnę. Zmarł – ostatni adres ul. K. Cedry 2a m 1. (1-135 Łódź)

kościola. Dziecko usnęło w kołysce. W pewnej chwili Tomasz usłyszał grzechot na blaszanym dachu swego nowego domu. Czyżby grad o tej porze – pomyślał? Wyjrzał przez okno. Ulicą biegli przestraszeni ludzie.

— UPA – Ukraińcy napadli na naszą wieś! Uciekaj! – wołali.

Teraz zrozumiał, że grzechot na dachu to seria wystrzelonych gdzieś pocisków. Sytuacja była groźna. Wyjął dziecko z kołyski, owinał pledem i wybiegł z domu, bo doszedł do wniosku, że tylko ucieczka ze wsi może dziecku i jemu uratować życie. Strzelanina była coraz bliżej. Zbrojne oddziały banderowców UPA podpalały domy. Biegnąc i chowając się, gdzie się dało, Tomasz widział, że Ukraińcy zabijali każdego, kto się znalazł na ich drodze. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że drogi nie przebiegnie, pociski gwizdały gęsto, przytulił dziecko mocno do piersi, i przylgnął do zasypanej śniegiem skarpy. Jeden z przebiegających banderowców rzucił okiem i krzyknął, „win wże wbytyj” (on już zabity). Przytulone do piersi leżącego ojca dziecko zakwiliło. Następny banderowiec zatrzymał się i strzelił. Trafił wprost w zawiniętą główkę dziecka. Ten sam pocisk przeszył Tomaszowi lewy bark tuż obok serca. Ranny stracił przytomność.

Po wielu latach miałem przyjemność poznać pana Jana Michalewskiego, starszego brata zamordowanego Tadeuszka. Jan Michalewski miał w tym czasie sześć lat; tylko przypadkowo uniknął masakry, gdyż w tym tragicznym dniu był u stryja Michała w przeciwnym końcu Huciska Brodzkiego. Powyższą relację Pan Jan przekazał mi na podstawie

własnej pamięci i wielokrotnego opowiadania swojego ojca, Tomasza, który w następnym dniu po napadzie otrzymał pierwszą pomoc w niemieckim szpitalu wojskowym w Brodach. W szpitalu ustalono, że został ranny pociskiem dum-dum. Noc po napadzie ciężko ranny przeleżał na zatłoczonej podłodze u gospodarza w sąsiednich Wołochach. Z tamtej nocy, wtedy sześciolatek syn Janek na klęczkach modlący się pamięta, że leżący ojciec co pewien czas jęczał „dobijcie mnie” a mama stale zwilżała mu rozpalone usta i twarz. *„Tej nocy nikt z nas nie zapomni do śmierci” !*

Po latach żyjąca w Twardogórze Sycowskiej Pani Hanicka która w tamtym piekielnym czasie była siostrą w szpitalu w Brodach wspominała:

„...Kiedy przywieźli Tomasza Michalewskiego do szpitala, po umyciu zemdlał a kiedy niemieccy lekarze wojskowi zdecydowali aby ręki nie amputować i zaczęli ją nastawiać to chory tak wyl z bólu, że obudził cały szpital i zemdlal...”.

Następnie składano zgruchotane kości ramienia i leczono rany Tomasza Michalewskiego w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Przebywał tam aż do czasu ewakuacji tego szpitala. Było to już w czasie powstania pod koniec sierpnia 1944r. Wieczorem tego sierpniowego dnia do sal i na dziedziniec szpitala wpadło dziwne wojsko w mundurach niemieckich. Na mundurach mieli jednak inne oznaczenia. Chorych popychano, bito nahajkami i z krzykiem wypędzano na dziedziniec i dalej do bramy. Kilku bardzo chorych po zadanych biciem razach zwijało się z bólu. Upadając na sali i na dziedzińcu nie mogli się podnieść. Oficerami na terenie szpitala podczas

tej ewakuacji byli Niemcy. Siostry często szukały oficera aby uciec od nachalnego żołdaka lub prosić o pomoc. Zachowanie żołdaków wskazywało na stan pod wpływem alkoholu. Najbardziej bito na przejściu przez bramę gdzie od uderzenia przewrócił się staruszek bez nogi, sąsiad z sali Tomasza. Tomasz Michalewski z łatwością rozpoznał język ukraiński w rozmowach i okrzykach żołdaków. Za bramą chorych formowano w kolumny pod nadzorem wojska niemieckiego i sióstr zakonnych /Szarytki/ z personelu szpitalnego. Sytuacja była spokojna i cicha bez krzyku i bicia. Tomasz Michalewski wielokrotnie ze zgrozą wspominał wypędzanie chorych w czasie ewakuacji szpitala Dzieciątka Jezus w czasie Powstania Warszawskiego. Ilu uderzonych, pobitych w czasie tej nocy skonało w salach i na dziedzińcu?

W czasie pobytu Tomasza w szpitalu w Warszawie, żona Anna i uratowany z napadu syn Janek przebywali u rodziny /Aleksandry i Ignacego Wąsowicz/ w Pruszkowie przy ul. Kochanowskiego. Pani Aleksandra Wąsowicz była wieloletnią polonistką w Gimnazjum im. J. Piłsudskiego, w Pruszkowie.

Tomasz do śmierci wielokrotnie wspominał, że twarz i postać Ukraińca, który strzelał do niego w Hucisku Brodzkim rozpoznałby w każdej chwili. Żona Tomasza Anna oraz inne Matki z Podola i Kresów dziękowały Bogu, jeśli ich dzieci zginęły od kuli a nie w ogniu, od wideł czy siekiery. Bandy UPA torturowały dzieci, kobiety i mężczyzn na ponad trzysta kilkadziesiąt różnych sposobów.

Tragiczne wydarzenia w Hucisku Brodzkim, między innymi los Tadeuszka Michalewskiego, opisał

w poetyckiej formie inny świadek tamtego czasu, Edward Gross (zob. *Załącznik 3*).

Warto tu wspomnieć że, żona Tomasza Michalewskiego Anna z domu Olszańska była krewną księdza biskupa Jana Olszańskiego. Ksiądz biskup Olszański urodził się w Hucisku Brodzkim w roku 1919. Nigdy nie opuścił Kresów. W najcięższych czasach bolszewickiego zaboru, wojny i ludobójstwa ukraińskiego trwał na swoim posterunku. Ukończył gimnazjum w Brodach, seminarium duchowne we Lwowie. W 1942r. Przyjął święcenia kapłańskie. Pomimo zakazu pełnienia działalności duszpasterskiej za czasów sowieckich nie opuścił kresów. Po przerwie pozwolono mu jednak wrócić do pracy. W roku 1991 Papież Jan Paweł II mianował go biskupem i ordynariuszem odrodzonej diecezji kamieniecko-podolskiej. Jego diecezja obszarem równała się prawie obecnemu obszarowi Polski. Biskup Jan pracował wytrwale pomimo ogromnych trudności. Często spowiadał wiernych kilkanaście godzin dziennie. Zamieszkał w Kamieńcu w ceglany baraku na zapleczu dawnej rezydencji biskupiej. Z okna piękny widok na zachodni brzeg Smotrycza i ruiny kamienieckiej twierdzy. Został biskupem, ale pozostał sobą. Pobożnym, dobrym księdzem, upartym i twardym, jeśli chodzi o sprawy boże a wyrozumiałym i dobrym dla ludzi. Pościł zawsze w środy i piątki. Znał doskonale język ukraiński. Kiedyś gimnazjalistka z Warszawy zapytała go jakiej jest narodowości. Zamilkł, twarz mu zamarała i zszarzała, po chwili odpowiedział gromkim głosem, jestem Polakiem. Stale podróżował po swojej diecezji by nieść posługę wiernym. Stary kochany biskup Jan

zmarł na swoim posterunku w Kamieńcu Podolskim 23 lutego 2003 roku miał 84 lata.

Wróćmy jednak do naszego domu w Urszulinie. Ciągłe trwały rozmowy i narady, nieraz bardzo gorące, czy nie zostawić tu wszystkiego i nie uciekać gdzieś na zachód, najlepiej do Warszawy. Ojciec jednak stale był temu przeciwny. Zostawić wszystko? Dorobek całego życia, taki majątek porzucić bez opieki na pastwę losu? Przecież z sobą niczego nie zabierzemy, a sprzedać w krótkim czasie nic się nie da. Uważał, że mama z dziećmi powinna pojechać do Brodów, gdzie było bezpieczniej, a on tutaj zostanie i będzie pilnował gospodarstwa. Wszyscy oczywiście byliśmy temu przeciwni, wiedzieliśmy że w razie napadu sam się nie obroni.

Zagłada Huty Pieniackiej

W pierwszych dniach marca dotarła do nas hiobowa wiadomość: hordy banderowców i SS Galizien¹¹⁾ dokonały likwidacji Huty Pieniackiej, wieś została spalona i prawie nikt się nie uratował. Wiadomość była tak przerażająca, że po prostu nie mogliśmy w nią uwierzyć. Jak to, w ciągu jednego dnia spalono sto kilkadziesiąt gospodarstw i zabito ponad dwa tysiące ludzi? To przecież niemożliwe!

Wieść dotarła do nas nie od bezpośredniego świadka, ale od znajomego, któremu o tragedii powiedział ktoś, kto był w pobliżu, słyszał strzały i widział płonące domy. Po chwili tragiczna prawda zaczęła docierać do naszej świadomości.

¹¹⁾ Zob. E. Prus *SS – Galizien patrioci czy zbrodniarze?*

Przecież codziennie płonęły polskie wsie i polskie gospodarstwa. Co noc widać było luny pożarów z różnych kierunków.

Mama po wysłuchaniu tej wiadomości znieruchomiała na krześle przy stole, a po chwili osunęła się na podłogę. Podbiegliśmy z tatą i przenieśliśmy ją na łóżko. Ojciec zawsze w trudnych sytuacjach potrafił zachować zimną krew i trzeźwość umysłu, wiedział, co należy robić. Zbadał puls, podniósł powieki.

— Dzięki Bogu — powiedział — szybko podaj zimną wodę.

Po skropieniu wodą twarzy i lekkim masażu, mama otworzyła oczy. Przez jakiś czas nie mogła dojść do siebie.

— Czy to prawda, co przed chwilą usłyszałam? Przecież tam są moi rodzice, Wojtek ze Stasią i maleństwem! Trzeba jechać, ratować ich!

Od tego pomysłu trudno ją było odwieść.

— Przecież nie mamy pewności, co tam się stało. Może te wieści są przesadzone. A droga jest trudna i niebezpieczna — przekonywał ojciec mamę.

Nie mieliśmy żadnego środka lokomocji; do Huty można było dojść tylko na piechotę, a to w przypadku mamy i siostry (Jola miała pięć lat) — w mroźną zimę w śniegu, przez pola i las — nie wchodziło w rachubę. Poza tym w lasach stale grasowały uzbrojone bandy Ukraińców. Pozostawienie domu bez nikogo też nie było możliwe. Mogła pójść tylko jedna osoba, co jednak powodowało duże osłabienie załogi obronnej naszego domu. Ojciec był gotów iść, ale zaprotestowaliśmy jednogłośnie wszyscy. W razie napadu bez ojca nie było żadnych szans na skuteczną

obronę naszej siedziby. Zgłosiłem się na ochotnika, lecz mama stanowczo się sprzeciwiła:

— Co ty im tam sam pomożesz?!

Wyczułem w głosie mamy, że bardziej chodziło jej o moje bezpieczeństwo niż o to, czy będę w stanie cokolwiek pomóc. Choć bardzo wydoroślałem, miałem przecież dopiero trzynaście lat. I w taki sposób nie podjęliśmy żadnej decyzji. Myśl o tym nie dawała mi jednak spokoju. Ciągłe myślałem o tym, żeby tam pójść i naocznie sprawdzić, jak jest naprawdę. Bardzo kochałem dziadków, a do babci byłem szczególnie przywiązany. Nie mogłem znieść myśli, że stało się im coś złego. W końcu doszedłem do przekonania, że będzie najbezpieczniej, jeśli pójdę do Huty Pieniackiej sam. Rozważyłem sprawę pytania rodziców o zgodę i, uznawszy to za wręcz przeciwnie skuteczne, podjąłem nieodwołalną decyzję: Pójdę tam niezwłocznie sam!

Na drugi dzień, wczesnie rano, kiedy było jeszcze zupełnie ciemno, wstałem, ubrałem się ciepło, za pazuchę włożyłem kawałek chleba, plaster boczku i wyszedłem z domu. Żeby nie wprawić rodziców w przerażenie, zostawiłem na poduszce kartkę z informacją, że poszedłem do dziadków i wrócę wieczorem. Gdybym powiedział, że się nie bałem, to bym skłamał – bałem się bardzo. Trwała niezwykle okrutna wojna, śmierć czaiła się wszędzie. Ukraińskie bandy mordowały niewinnych ludzi na każdym kroku. Byłem obeznany ze śmiercią, widziałem ludzi pomordowanych w okrutny sposób. Jednak każdy boi się śmierci, a już na pewno ktoś, kto ma trzynaście lat.

Zdecydowałem nie brać ze sobą broni. Nie mieliśmy broni krótkiej, a tylko taka mogła mi się

przydać; broń długa byłaby widoczna i od razu nie miałbym szans. Postanowiłem jednak wziąć lekki granat obronny. Założyłem zapalnik i włożyłem granat do kieszeni. W sytuacji bez wyjścia lepiej zginąć z własnej ręki, niż być zamęczony przez rizinów. Po zamknięciu za sobą drzwi domu przyszła mi zbawienna, uspakajająca myśl. Jeszcze na naszej ziemi, przed bramą, przykląkłem i zmówiłem modlitwę za dziadków, za rodziców i za siostrę, żebym ich wszystkich jeszcze zobaczył. Prosiłem Boga, żeby pozwolił mi wrócić szczęśliwie do domu. Było cicho i ciemno; byłem przekonany, że Bóg jest blisko przy mnie i słyszy, o co Go proszę. Przeżegnałem się i ruszyłem w drogę.

Po wejściu na wzgórze, przed Pereliskami, zobaczyłem wkoło za horyzontem łuny pożarów. Znowu palą się gdzieś polskie domy – pomyślałem – ktoś rozpacza, ktoś w męce traci życie. Na myśl mi przyszedł chorał Kornela Ujejskiego, który ostatnio przypomniła mama:

*Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,
Do Ciebie, Panie, bije ten głos,
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.*

Od wschodu było słychać dudnienie dział zbliżającego się frontu. Chyba są już od nas kilkadziesiąt kilometrów – pomyślałem.

Drogę do Huty Pieniackiej znałem doskonale, mógłbym tam dotrzeć nawet po ciemku. Staralem się iść bardzo cicho, żeby zawczasu usłyszeć, gdyby się ktoś zbliżał. Po niedługim czasie zaczęło się

trochę przejaśniać. Mróz był lekki, może kilka stopni. Śniegu jeszcze leżało dużo; przeważnie stwardniał tak, że nie bardzo przeszkadzał w marszu. Wiał lekki wiatr. Niebo było zachmurzone, zaczęła się unosić lekka mgła. Przeszedłem lasem wokół góry patłatej. Tu były jeszcze ścieżki. Dalej za górą wychodziło się na szeroką drogę, ale tym razem było to niebezpieczne. Nie mogłem iść po otwartej przestrzeni, bo byłbym z daleka widoczny. Gdybym został zauważony przez jakąś grupę banderowców, mógłby to być ostatni dzień w moim życiu. Kiedyś takie spotkanie omal nie skończyło się tragicznie. Szedłem więc w oddaleniu od drogi, starając się nie nadeptywać na gałęzie, żeby nie trzaskały. W lesie było cicho, zdawało się, że las był martwy. Co jakiś czas rosły gęste kępy świerków, jodeł i sosen, co pozwalało mi się ukryć i chwilę spokojnie odpocząć. Między drzewami liściastymi widać mnie było z dużej odległości. Liście opadły jesienią i las był przejrzysty.

Najniebezpieczniejsze było przejście przez Żarków¹²⁾, wieś zamieszkaną wyłącznie przez Ukraińców, znanych z wrogości do Polaków. Zobaczenie mnie przez nich równało się wyrokowi śmierci, bo wielu z nich znało naszą rodzinę bardzo dobrze. Okrążyłem więc zabudowania Żarkowa, idąc przez pagórkowate pola, choć oznaczało to konieczność do sporego nadłożenia drogi. Przypomniałem sobie poza tym, że przez wieś płynie górny Seret i że będę musiał gdzieś przez niego przejść. Na szczęście okazało się, że wąska rzeczka, jaką był tu Seret, była zamarznięta i nie miałem kłopotu z jej pokonaniem. Dalej znowu droga wiodła przez las.

¹²⁾ E. Prus *SS – Galizien patrioci czy zbrodniarze?* str. 135. Autor mylnie podaje nazwę wsi Żarki oczywiście chodzi o wieś Żarków.

Przed południem dotarłem do miejsca, gdzie zawsze wychodziłem z lasu na rozległą polanę okalającą Hutę Pieniacką. Po drodze musiałem dwukrotnie przeczekać, przycupnąwszy pod drzewem, aż miną mnie sanie z kilkoma uzbrojonymi Ukraińcami, uznałem, iż muszę w odpowiedniej odległości przedostać się lasem aż do miejsca naprzeciwko zabudowań gospodarstwa dziadków.

Zachowując najwyższą ostrożność, wkrótce tam dotarłem. Podeszedłem na skraj lasu i, nie zauważony, wyrzałem zza drzew. Tego, co zobaczyłem, nie zapomnę do końca życia. Zamarłem w bezruchu. Ugięły się pode mną kolana. Na klęczkach, znieruchomiały, patrzyłem na coś, czego nie byłbym w stanie nawet sobie wyobrazić. Po policzkach popłynęły mi łzy; nie mogłem tych łez zahamować. Za gardło chwycił mnie skurcz.

Kiedyś z tego miejsca roztaczał się ładny widok na zadbane gospodarstwo moich dziadków i na większość zabudowań Huty Pieniackiej. Teraz moim oczom ukazał się straszliwy obraz kompletnej ruiny.

Nie było domów ani innych zabudowań, nie było stodół, żadnej stajni, żadnej szopy – nic. Na miejscu domów pośród zgliszcz sterczały tylko osmalone kominy. Tam gdzie był dom moich dziadków, jak obeliski patrzyły w niebo dwa poczerńiałe kominy. Po reszcie zabudowań nie zostało nic. W niektórych miejscach unosiły się jeszcze dymy dopalających się pożarów. Przed oczami miałem jedno wielkie pogorzelisko.

Przez dłuższy czas nie mogłem pozbierać myśli. Co robić? Wyjść z lasu i sprawdzić, co się stało? Gdzie są dziadkowie? Gdzie jest wujek Wojtek,

wujenka Stasia i moja mała kuzynka? Czy ktoś z nich jeszcze żyje? Instynkt samozachowawczy nakazywał zachować wyjątkową czujność. Stale się rozglądałem, czy ktoś się nie zbliża, czy ktoś mnie nie zauważył. Na szczęście wokół panował względny spokój. Nie umiem powiedzieć, jak długo trwałem w takim odrętwieniu. Od wsi w stronę lasu wiał lekki wiatr, niósł z sobą woń spalenizny i gryzący zapach spalonego mięsa. Z przerażeniem zrozumiałem, że woń spalonego mięsa to ludzie spaleni w domach i stodołach. Przecież to była typowa metoda banderowców – wpędzić ludzi do domu lub stodoły, zamknąć i podpalić! Stać ich było na tak nieludzkie okrucieństwo!

Po pewnym czasie zauważyłem uzbrojonych ludzi prowadzących konie i krowy. Wyglądało na to, że wiele zwierząt ocalało. Bandyci zwierząt nie mordowali, bo mogły im się przydać, więc wyłapywali blakającą się po spalonej wsi zwierzynę. Widać też było jakichś ludzi kręcących się po zgliszczach. Co jakiś czas dochodziły do mnie ukraińskie nawoływania. Do wsi wjeżdżały puste sanie, a wyjeżdżały pełne. Nie miałem wątpliwości, że to nie Polacy szukający resztek swojego dobytku. Spaloną wieś do szczętu rabowali Ukraińcy.

Zdałem sobie sprawę, że nie mam żadnych szans, aby dokładniej sprawdzić, co się stało z naszymi bliskimi, i że dalsze pozostawanie w tym miejscu jest wysoce niebezpieczne. Trzeba wracać do domu, i to jak najszybciej. Rozglądając się wokół, zacząłem się wycofywać.

Z powrotem szedłem, zachowując jeszcze większą ostrożność niż przedtem. Poczułem straszne zmęczenie i głód, dobrze że wziąłem z sobą trochę

jedzenia. Dotarłem do gęstego zagajnika pachnących jodeł, usiadłem na pniu ściętego drzewa, posiliłem się i trochę odpocząłem.

To, co zobaczyłem w Hucie Pieniackiej, wprawiło mnie w stan ciężkiego przygnębienia. Jak ja to wszystko opowiem mamie? Nie mam pojęcia, co się stało z dziadkami? Co z wujkiem Wojtkiem? Z wujenką i maleństwem? Gdzie są? Czy wszyscy zginęli? Na tak ważne pytania nie miałem żadnej odpowiedzi. Mogłem jedynie przypuszczać, że stało się to, co najgorsze. Żal, złość, chęć zemsty targały mną na przemian. W takich przypadkach bezsilność jest piekielnie bolesna. Cóż mogłem zrobić – pójść pod ukraińską chałupę i wrzucić granat, który niosłem w kieszeni? Najpewniej zginęliby niewinni ludzie.

Przed Żarkowem widziałem znowu pełne sanie wjeżdżające do wsi i puste jadące w stronę Huty; było widać z daleka, że siedzą na nich uzbrojeni banderowcy. Wcale nie ukrywali noszonej broni i tego, że rabują spaloną wieś. Ponownie musiałem dużym łukiem okrążyć Żarków, aby nie zostać zauważonym. Poczułem straszne zmęczenie, znowu usiadłem ukryty pod iglastym zagajnikiem. Przed oczami przebiegał mi chaotyczny film. Obrazy uśmiechniętych dziadków, ich gospodarstwa, radosnych, szczęśliwych dni spędzanych u nich mieszały się z obrazami tego, co widziałem przed kilkoma godzinami. Jak straszliwa może być nienawiść? Jak ogromne zezwierżenie, aby ludzie mogli popełnić tak straszliwą zbrodnię?

Późnym wieczorem szczęśliwie dotarłem do domu. Kiedy z dala zobaczyłem mrugające światelka w oknach, mój ulubiony Dżog przybiegł do mnie na spotkanie, radośnie szczekając. Rodzice moje

opowiadanie przyjęli ze smutkiem. Obawiałem się, iż będą mieli do mnie pretensję, że czegoś więcej się nie dowiedziałem. Pretensję mieli, ale o coś zupełnie innego – o to, że samowolnie naraziłem się na tak duże niebezpieczeństwo. W oczach ojca dostrzegłem jednak ukrytą aprobatę, którą mi po latach potwierdził.

O przebiegu tragicznych wydarzeń w Hucie Pieniackiej i o losie naszych bliskich dowiedzieliśmy kilka tygodni później od wujka Wojciecha Kierepki, który zdołał uniknąć zagłady. Opowiadał kilkanaście godzin co przeżył w Hucie Pieniackiej w dniu zagłady. Opowiadanie wywoływało żal, smutek i przerażenie. Opowiadanie to zapamiętałem na całe życie.

Relacje zaś innych świadków mogłem poznać dopiero po wielu latach. Układają się one w nader tragiczną i ponurą całość. Listę pomordowanych, których nazwiska udało się do tej pory ustalić, zawiera *Załącznik 2*.

Otóż po odparciu przez samoobronę ataku połączonych sił band UPA i żołnierzy SS Galizien na Hutę Pieniacką w dniu 23 lutego Ukraińcy pozostawili obserwatorów w okolicznych lasach. Stąd mieli informacje o ruchach oddziałów Armii Krajowej, a także partyzantów sowieckich, którzy przedtem, na początku lutego, przebywali w tej wsi. Odbyło się tam wówczas spotkanie dowódców oddziałów partyzantów sowieckich i oddziałów AK. Sowietci zażądali całkowitego podporządkowania się oddziałów AK i polskich podziemnych ośrodków politycznych sowieckiemu dowództwu partyzanckiemu. Oczywiście Polacy nie wyrazili na to zgody. Dwuosobowy oddział partyzantów sowieckich po otrzymaniu żywności i zaopatrzenia

opuścił Hutę Pieniacką. Uzbrojonych żołnierzy AK pozostało we wsi niewielu.

Dwudziestego siódmego lutego, w niedzielę, służba informacyjna samoobrony doniosła, że w okolicy Złoczowa jednostka SS Galizien w sile aż około 1500 żołnierzy przygotowuje się do ataku na Hutę Pieniacką. Miejscowa samoobrona rozpoczęła intensywnie przygotowania do odparcia ataku. Docierały sprzeczne informacje, między innymi takie, że jeśli wieś opuszczą wszyscy mężczyźni zdolni do walki, to nie zostanie ona zaatakowana. Taki przypadek faktycznie zdarzył się w Majdanie niedaleko Huty, gdzie jednostki SS Galizien przeszukały wieś, po czym, nie znalazłszy broni, wycofały się. Oczywiście, nie ma pewności, czy tym razem nie była to prowokacja. Tak czy inaczej, powstała dezorientacja, część uzbrojonych żołnierzy samoobrony poszła do lasu.

W poniedziałek 28 lutego nad ranem żołnierze SS Galizien wraz z bandami UPA otoczyli pierścieniem wioskę. Około godziny szóstej, na sygnał różnokolorowych rakiet świetlnych rozpoczął się koncentryczny atak. Wieś została ostrzelana z broni maszynowej i moździerzy. Od pocisków zapalających i wybuchów granatów zaczęły płonąć budynki. Pierścień atakujących coraz bardziej się zaciskał.

Zaciekły opór samoobrony został szybko złamany, gdyż nie była ona przygotowana do odparcia tak zmasowanego ataku. Esesowcy ukraińscy wraz z cywilnymi bandami UPA wdarli się do Huty Pieniackiej. Za nimi sunęły podwody ukraińskich bandytów, przygotowanych do rabunku mienia

skazanych na zagładę polskich mieszkańców wsi. Napastnicy wbiegali do domów, wywlekali wszystkich znajdujących się wewnątrz: kobiety, starców, chorych, dzieci. Wynosili co cenniejsze mienie i ładowali na furmanki. Przeszukiwali domy, stodoły, kryjówki, piwnice. Do mieszkań wrzucali granaty, podpalali budynki. Wyprowadzali również inwentarz żywy – konie, krowy, nierogaciznę. Szalał terror, trwał rabunek mienia. Kto próbował ratować się ucieczką, dostawał serię z broni maszynowej. Cywilni bandyci byli nawet bardziej bezwzględni i okrutni niż mundurowi. Rzadko kiedy używali broni palnej. Zabijali bezbronných ludzi nożami i siekierami. Nie oszczędzali dzieci. Typowym sposobem unicestwienia dziecka było chwycenie go za nóżki i uderzenie głową o mur bądź rozdeptanie głowy podkutym butem. Inną odmianą bestialskiego mordu małego dziecka było przydeptanie jednej nóżki do ziemi butem i szarpnięcie drugiej nóżki oburącz w górę. Wywlekanych mieszkańców spędzano do środka wsi, do kościoła. Wszędzie słychać było krzyki, jęki i błagania o zlitowanie mordowanych i rannych ludzi. Huk ognia płonących budynków stale się wzmaczał. Strzelanina, wybuchy granatów i pocisków moździerzowych nie ustawały.

Jeden z ocalałych mieszkańców po wielu latach, zeznając przed prokuratorem, opowiadał: „Leżąc w kryjówce na strychu słyszałem strzały, płacz i jęki mordowanych ludzi. Słyszałem głos dziecka które prosiło: **«zabijcie mnie koło mamusi, ale zabijcie z daleka»**”. Dalej świadek zeznawał: „Usłyszałem głos trąbki do odejścia ludobójców, po wyjściu z kryjówki zobaczyłem ocalałych ludzi. Ludzie pytali

o swoich bliskich, był płacz i istne piekło. Zacząłem szukać swoich bliskich. Koło domu zobaczyłem, że zabitym dzieckiem, októrym wcześniej zeznałem, była moja kuzynka Anieli Rysicka. Niedaleko niej leżała jej matka oraz kilka osób, zobaczyłem w stodółach i mieszkaniach stosy trupów popalonych i zwęglonych. Ciało żony znalazłem w stodole kuzyna Władysława Mendelskiego. Żonę poznałem po sukience. Ciało było skurczone prawie całe spalone”¹³⁾

Moja babcia, Urszula Kierepka, była jedyną położną w Hucie Pieniackiej. W przeddzień zagłady została wezwana do porodu do Józefy Michalewskiej, mieszkającej przy ulicy Żarkowskiej. Wraz z rodzącą kobietą wywleczono je z domu, biciem i wrzaskami popędzono do kościoła. Dziadek Wincenty schował się w piwnicy, zamknął drzwi od wewnątrz, przykrył się kocem i przysypał kartoflami. Ukraińscy faszyci splądrowali cały dom, wyłamali drzwi do piwnicy, rozejrzeli się po ciemnym wnętrzu, ale dziadka nie zauważyli. Wujek Wojtek był w tym czasie w centralnej części wsi, wraz z garstką obrońców walczył z bronią w rękę. Na szczęście żonę i dziecko wcześniej wywiózł do teściów w Palikrowach. Kiedy jakakolwiek walka stała się niemożliwa, ukrył broń i został jak inni zapędzony do kościoła. Cudem udało mu się dostać po drabinie na wieżę. Pomógł wejść na wieżę kolejnym osobom, po czym mężczyźni wciągnęli za sobą drabinę i zamaskowali wejście. Łącznie na wieży zmieściło się i ocalało trzynaście osób, w tym kilkoro dzieci. Pomieszczenie było bardzo ciasne. Stłoczeni ludzie w śmiertelnym szoku przeżywali chwile grozy. Jedno z dzieci nie

¹³⁾ W. Bąkowski „Zagłada Huty Pieniackiej” str.146

mogło uciszyć płaczu, lkało w panicznym strachu. Wyczuwało niebezpieczeństwo, choć było zbyt małe, żeby zrozumieć, co się dzieje. A każdy odgłos mógł zdradzić kryjówkę. Jeden z mężczyzn zacisnął dłoń na ustach i nosie dziecka.

Jeśli się nie uciszy, uduszę! – syknął szeptem, gotów z determinacją spełnić groźbę. Matka dziecka rzuciła się na niego z pięściami – Najpierw zabijesz mnie!

A oto relacja innego naocznego świadka tej sceny Mieczysława B. złożona przed prokuratorem:¹⁴⁾ „Weszliśmy na strych w kościele, ale tam specjalnie nie było gdzie się schować, dopiero po obejrzeniu się zauważyłem wybitą dziurę w murze i tam właśnie ukryliśmy się. Jak się okazało, była to część wypukła nad prezbiterium, przez które przechodziła linka do sygnaturki. Do nas dołączyło więcej ludzi między innymi: Hania Kowalczykowska z Zygmuntem i malutkim dzieckiem – Tadkiem, Wojtek Kierepka, Maryśka Fedyczkowska z Frankiem i Józkiem, tak jak wtenczas liczyłem, było nas 13 osób, w tym dziecko dwutygodniowe, które dość często popłakiwało, a myśmy się bali, żeby Niemiec¹⁵⁾ nie usłyszał.

Szefem takim naszym był Wojciech Kierepka, bo wchodził do wieży kościelnej wyżej i o wszystkim co widział, to schodził i nam po cichu opowiadał, gdzie się pali, gdzie bydlę biega, gdzie bandyci chodzą, jak torturują ludzi, jak rabują nasze mienie i tak siedzieliśmy a dziecko płakało od czasu do czasu.

Wobec takiej sytuacji wystąpiono z propozycją żeby zabić dziecko, aby nie sprowadziło na nas

¹⁴⁾ W. Bąkowski „Zagłada Huty Pieniackiej” str.163

¹⁵⁾ Świadek określa „Niemiec” gdyż mieszkańcy Huty widzieli na-
pastników w mundurach SS nie wiedząc że jest to Dywizja SS Gali-
zien, w której 98% składu osobowego stanowili ukraińscy ochotnicy.

nieszczęścia. Wówczas pierwszy raz w życiu brałem udział w głosowaniu, kto jest za zabiciem dziecka. Oczywiście rozsądek zdecydował i większością głosów postanowiono zabić, ale nie było takiego okrutnego – mordercy, żeby wyrwał dziecko matce i zabił. Dziecko przeżyło te straszne chwile”¹⁶⁾.

Na szczęście napastnicy nie znaleźli kryjóWKi. Z wieży kościelnej można było dokładnie obserwować szalejący terror, okrutne znęcanie się i mordowanie niewinnych ofiar, rabowanie mienia. Wujek Wojtek widział stamtąd, jak wpędzano do kościoła jego matkę i panią Michalewską. Potem co chwila wywlekano kogoś z kościoła i torturowano. Wyprowadzono między innymi inżyniera Kazimierza Wojciechowskiego, który kierował samoobroną wioski. Potwornie go pobito, torturowano go, a następnie oblano benzyną i podpalono. Zginął w męczarniach niczym płonąca pochodnia.

Plomienie pochłaniające domy i zabudowania szalały w całej wsi. W pewnym momencie zauważono z wieży, że ukraińscy żołnierze SS Galizien przygotowują ładunki do wysadzenia w powietrze upchanego ludźmi do granic możliwości kościoła. Po jakimś czasie jednak zrezygnowali z tego zamiaru i zastosowali inny potworny sposób ludobójstwa. Otworzyli drzwi kościoła i zapytali, czy są jacyś volksdeutsche. Należy tu odnotować, że w Hucie Pieniackiej mieszkało sporo osób pochodzenia austriackiego o niemieckich nazwiskach, ale żadna z nich nie podpisała volkslisty. W obliczu zagrożenia życia kilku ludzi się zgłosiło, puszczone ich wolno.

¹⁶⁾ Sygn. Akt S.5/92/U. Cyt. za: W. Bąkowski, *Zagłada Huty Pieniackiej*, Kraków 200 s. 162.

Następnie kazano wyjść najstarszym osobom. Tych kilkadziesiąt starszych osób wepchnięto siłą do najbliższej stodoły, zaryglowano drzwi, oblano benzyną i podpalono. Płomień natychmiast ogarnął budynek. Po niedługim czasie płonący dach zawalił się na stłoczonych, zamkniętych w stodole ludzi. Następnie wyprowadzono z kościoła kolejną grupę Polaków; tym razem były to kobiety z dziećmi. Wepchnięto je do kolejnej chałupy, zamknięto i podpalono.

Identyczna „operacja” została powtórzona jeszcze wielokrotnie. Tak oto partiami po kilkadziesiąt osób wyprowadzono z kościoła i unicestwiono wszystkich ludzi znajdujących się w tym dniu w Hucie Pieniackiej. Komu udało się wydostać z ognia, był likwidowany serią z automatu. Z obliczeń wujka Wojtka wynikało, że zamordowano w ten sposób ponad tysiąc osób. Wujek był przekonany, że jego matka, a moja babcia została spalona w pierwszej turze ludzi starszych wyprowadzonych z kościoła. Jednak będąc na wieży kościoła, nie wiedział, jakie zbrodnie popełniano wewnątrz kościoła.

Aleksander Korman w niezwykle cennej pracy *Nie ukarane zbrodnie SS Galizien z lat 1943–1945* z precyzją zawodowego historyka opisuje ludobójstwo popełnione w Hucie Pieniackiej, opierając się na zeznaniach naocznych świadków, między innymi wujka Wojciecha Kierepki. Przytoczę tylko fragment dotyczący tego, co działo się wewnątrz kościoła i jak została zamordowana moja babcia.¹⁷⁾

¹⁷⁾ A. Korman *Nieukarane Zbrodnie SS – Galizien z lat 1943 – 1945* str.30 Koło Lwowian Londyn 1990

„Do kościoła ludzie byli wpędzani przez zakrystię i wejście boczne od strony budynku nowej szkoły. Przechodzili przez dwurzędowy szpaler esesowców zbroniągotowądo strzału, byli zmuszani do wchodzenia biegiem do wnętrza świątyni. Ukraińscy żołnierze SS Galizien, którzy stanowili 98% stanu dywizji, sprofanowali kościół rzymskokatolicki. Wnętrze kościoła było zdewastowane, rozbite tabernakulum, przed ołtarzem rozsypane Hostie a szaty liturgiczne leżały rozrzucone na posadzce, na której były widoczne ślady krwi. (...) W nocy z 27 na 28 lutego 1944 r. Józefę /A. Korman podaje niewłaściwe imię Franciszka/, przypisek mój-Michalewską z domu Bernacką, lat 26, zamieszkałą przy ul. Żarkowskiej, zaatakowały bóle porodowe. Była przy niej położna-akuszerka. Esesowcy wtargnęli do jej domu, wyprowadzili ją wraz z położną i z innymi zamieszkałymi przy tej ulicy. Doprowadzili do kościoła, posadzili na stopniu ołtarza a przy niej położną. Gdy bóle przybierały na sile, a Michalewska bardzo jęczała i zaczęła rodzić to podszedł do niej esesowiec, wyrwał z niej siłą dziecko, rzucił na posadzkę przed ołtarzem i rozgniół esesmańskim butem. W obronie rodzącej wystąpiła obecna przy niej położna. W odpowiedzi obydwie zostały zastrzelone a ukraiński esesowiec narzucił na nie szaty kościelne”.¹⁸⁾

W taki oto tragiczny sposób zginęła moja ukochana babcia. Rozpaczliwie broniąc rodzącej kobiety i noworodka, którzy byli powierzeni jej opiece. Czyż można ten mord nazwać inaczej niż ludobójstwem? Gdy myślę o tym, bezsilność rozdziera mi piersi.

¹⁸⁾ A. Korman, *Nie ukarane zbrodnie SS Galizien z lat 1943–1945*, Koło Lwówian, Londyn 1990, str. 31. Jedyną położną w Hucie Pieniackiej była moja babcia Urszula Kierepka

Nie ma nawet grobu babci. Nie ma grobu noworodka ani jego bestialsko zamordowanej mamy. Nie ma śladu po szlachetnym człowieku, jakim była babcia, nie ma gdzie złożyć kwiatów. Można tylko zmówić modlitwę za spokój jej duszy.

Może tę, którą kiedyś przeczytałem w literaturze kresowej. Niestety nie znam jej autora. Nauczyłem się tej wzruszającej modlitwy na pamięć, ale pamięć jest zawodna. Mam nadzieję, że autor mi wybaczy zarówno brak swego nazwiska, jak i ewentualne nieścisłości.

*Matko Boża! Królowo Korony Polskiej,
Królowo umęczonej ziemi Wołyńskiej, Podolskiej,
Ziemi Lwowskiej, Lubelskiej,
Umęczonej ziemi Kresów Wschodnich.
Przyjmij do siebie dusze niewinnych istnień ludzkich.
Weź w matczyne dłonie duszyczki dziecięce
Rozdeptane z nienawiścią, butem hajdamackim.
Przyjmij sługi wierne kapłanów Twoich,
Pełniących służbę na posterunku do końca,
Którzy z ostatnim tchnieniem
Na ustach, umarli z Twoim Imieniem.
Ochroń matczynymi dłońmi żywcem palone w ogniu,
Kobiety w bólu ściskające swe dzieci w ramionach.
Niech męka ich nie pójdzie na marne.
A tym, co przeżyli, wygnanym z ziemi ojców i dziadów,
Daj siłę ducha, ból z pamięci usuń.
Ześlij trud przebaczenia, lecz nie zapomnienia!*

Okolo godziny piątej po południu, kiedy już wszystkie zabudowania we wsi płonęły, a kościół był pusty, esesmani i cywilni bandyci z UPA zaczęli

odjeżdżać z wozami wyładowanymi zrabowanym mieniem. Po zapadnięciu zmroku grupka uratowanych na wieży kościelnej zeszła na dół. Wujek zaczął iść w kierunku domu swoich rodziców. Wkoło było istne piekło. Wszędzie mnóstwo trupów i jęczących rannych. W dopalających się stodołach i chatach zbite masy spieczonych ludzkich ciał. Przestraszone, niejednokrotnie przypalone ogniem bądź ranne zwierzęta domowe zrykiem biegały pomiędzy trupami, rannymi ludźmi i dopalającymi się budynkami. Śwąd spalenizny unosił się wszędzie.

Zachowując ostrożność, opłotkami wujek dostał się do gospodarstwa. Dom i zabudowania gospodarskie trawił ogień. W piwnicy odnalazł półprzytomnego dziadka. Na szczęście ogień nie dotarł do jej wnętrza. Po upewnieniu się, że dziadek żyje i nie jest ranny, kazał mu poczekać na siebie, a sam pobiegł poszukać koni, żeby je zaprząć i jak najszybciej uciekać, szukać ratunku. Oczywiście swoich koni nie znalazł. Zaprzągnął do wozu pierwsze, jakie napotkał. Nawet nie przeszukiwał zgliszcz. Wsadził dziadka na wóz i pojechał do rodziców swojej żony do Palikrów. Tam przed kilkoma dniami Ukraińcy zamordowali ponad dwustu Polaków. Tym razem „urzędowali” w Hucie Pieniackiej, więc wujenka wraz z dzieckiem i resztą rodziny ocalała.

Tragiczne przeżycia spowodowały u dziadka głęboki uraz psychiczny. Nie można się było z nim porozumieć, nikogo nie poznawał, niczego nie pamiętał, nie wiedział, kim jest, przestał cokolwiek jeść. Po zaśnięciu zrywał się z przerażającym krzykiem. Po kilku dniach zmarł. Należy więc również do ofiar potwornej zagłady Huty Pieniackiej.

Pogrom polskiej ludności w Podkamieniu

Podkamień – legendarne miejsce kultowe Połowców, gdzie w XV wieku na Górze Różańcowej dominikanie założyli klasztor, a w XVI wieku Herbutowie wzniesli warowny zamek – był oddalony od naszego majątku o dziesięć kilometrów na południowy wschód. Ufortyfikowanego go w XVII wieku, klasztoru dominikanów i zamku strzegł przez wiele wieków cudowny obraz Matki Bożej Podkamieńskiej. Obraz ten rodacy uratowali z ukraińskiego pogromu. Jest obecnie przechowywany w kościele św. Wojciecha we Wrocławiu na Placu Dominikańskim.

Zespół klasztorno-kościelny w Podkamieniu był przed wojną jednym z najważniejszych ośrodków kultu maryjnego, nazywanym Jasną Górą wschodu. Na uroczystości religijne organizowane przez oo. dominikanów ciągnęły tłumy wiernych z bliskich i dalekich okolic. I my co roku przyjeżdżaliśmy tu na barwne, okazałe odpusty.

Początki Podkamienia – Jasnej Góry wschodu sięgają XII wieku. Tu Wiśniowieccy, Czartoryscy, Lubomirscy, Sobiescy, Potoccy, Kalinowscy i inni magnaci, obok najuboższych kmiotków zginali swe kolana, przed cudownym obrazem Matki Boskiej Podkamieńskiej. Wskutek łask doznanych składali srebro i złoto na ołtarzu, a skronie swej orędowniczki i matki, perłami i najdroższymi przyozdabiali klejnotami. Szczególną troskę okazywali chorążowie polscy Baltazar i Aleksander Cetnerowie oraz król

Michał Wiśniowiecki.” Bywał często w Podkamieniu Jan III Sobieski król polski. Cieszył Dominikanów mówiąc: „UCZYNIĘ WAM Z PODKAMIENIA DRUGĄ CZĘSTOCHOWĘ”.¹⁹⁾

Nazwa Podkamień prawdopodobnie została wywiedziona z faktu, że przed ogromnym klasztorem w niedalekiej odległości istnieje wzniesienie w kształcie regularnego stożka, a na jego szczycie stoi skała, kamień o dość regularnych kształtach walca wysokości kilkudziesięciu metrów. Legenda miejscowa głosiła, że diabeł niósł ten kamień na plecach, aby zrzucić go na klasztor, lecz spóźnił się, kur zapiał i diabeł musiał kamień zostawić.

W czasie I w.s. w klasztorze mieścił się lazaret, gdzie znalazł się ranny kapral A. Hitler, który ponoć nakazał swoim wojskom idącym przez Podole na Sowiecką Rosję w 1941 aby oszczędzili klasztor w Podkamieniu.

Podkamień, ten bastion polskości i wiary rzymskokatolickiej, od swego zarania aż po tragiczny wiek XX był obiektem zaciekłych i wyjątkowo barbarzyńskich ataków. Najpierw tatarskich, następnie kozackich, jeszcze później bolszewickich, a na koniec ukraińskich. Wszystkie te ataki – mimo tak szerokiego przedziału czasowego – były realizowane z jednakową jaskiniową brutalnością i, o dziwo, według podobnej dramaturgii.

Poprzestając na ostatnich tragicznych wydarzeniach, należy wskazać, że po agresji

¹⁹⁾ Praca zbiorowa "Piękno Podola", Wyd. Koło Tarnopolan PTTK Żary 2004, str.97.

sowieckiej 17 września 1939 roku księży i zakonnicy musieli opuścić klasztor. Sam kościół pozostał podczas obu okupacji w użytkowaniu wiernych, natomiast w pomieszczeniach klasztornych za okupacji sowieckiej urządzono spółdzielnię rzemieślniczą, produkującą odzież i obuwie. W jesieni 1943 roku, gdy fala mordów ludności polskiej zaczęła się przetaczać z Wołynia na Podole, wielu Wołyniaków, którym udało się cudem ująć z życiem, szukało schronienia w umocnieniach podkamieńskiego klasztoru.

W związku z zaistniałą sytuacją komendant Okręgu AK w Tarnopolu ppłk Franciszek Studziński rozkazał dowódcom wszystkich szczebli zorganizowanie samoobrony polskiej ludności. Na organizatora i dowódcę Samodzielnego Oddziału Samoobrony AK w Podkamieniu wyznaczył por. rez. inż. Kazimierza Sołtysika, który przed wojną był adiunktem w nadleśnictwie. Zadaniem oddziału była obrona ludności polskiej znajdującej się wówczas w Podkamieniu oraz ochrona bezcennego dziedzictwa narodowego, jakie przedstawiał sobą zabytkowy zespół kościelno-klasztorny na Górze Różańcowej. Zastępcami dowódcy oddziału zostali por. Marian Kwaśnicki i ojciec Józef Burda, dominikanin. Trzon organizacyjny oddziału stanowił 18-osobowy oddział straży leśnej, który kwaterował w klasztorze, uzupełniony kilkunastoma żołnierzami Armii Krajowej. Poza tym w samoobronie uczestniczyła częściowo przeszkolona młodzież harcerska powyżej szesnastu lat oraz inni Polacy. Tak oceniają bracia Zbigniew Jan i Stanisław Stefan Ilowscy: „Stanowili oni dość pokaźną siłę bojową na wypadek konieczności

obrony klasztoru”²⁰⁾. Wszyscy zostali odpowiednio przeszkoleni i zorganizowani na wzór oddziałów wojskowych. Niemal wszyscy zostali uzbrojeni w zdobyczną broń, kilkanaście granatów, karabiny i dwa automaty.

Bazą samoobrony był oczywiście klasztor oo. dominikanów. Była to fortyfikacja otoczona wysokim murem w kształcie gwiazdy. Do jej wnętrza wiodły dwie bramy w murze. Bramy były zrobione z grubych bali dębowych, tęgo okute żelazem. Zabudowania klasztorne tworzyły zamknięty czworobok z wewnętrznym dziedzińcem. Pomieszczenia klasztorne były obszerne, murowane, o sklepieniach krzyżowych, mogły pomieścić wygodnie kilkaset osób załogi i szukających w nich schronienia. Długie wąskie korytarze biegnące wokół całej budowli pozwalały na ogląd przedpoła przyszłej walki i chroniły przed pociskami nieprzyjaciela.

Na kilka dni przed spodziewanym atakiem przygotowano obiekt do obrony. Okna parterowe zabezpieczały mocne kute kraty, bramy wejściowe wzmocniono i przygotowano odpowiednie materiały do ich zabarykadowania. Wyznaczono punkty obserwacyjne, otwory strzelnicze w głębokich wnękach okiennych wzmocniono workami piasku.

Na wieść o ludobójstwie dokonanym w Hucie Pieniackiej i innych pobliskich wsiach do klasztoru napłynęła nowa fala uchodźców z dobytkiem, często z zapasami żywności, workami zboża, ziemniaków i warzyw. Praktycznie każdy szukający tu schronienia zabierał ze sobą zapas produktów spożywczych na

²⁰⁾ Z. J. i S. S. Ilowscy, *Podkamień - apokaliptyczne wzgórze*, Opole 1993-1994.

kilka dni. Kuchnie klasztorne były duże i mogły jednorazowo przygotować kilkaset posiłków. Na wewnętrznym dziedzińcu klasztoru znajdowała się studnia o głębokości około 120 metrów, zaopatrująca jego mieszkańców w dobrą wodę pitną.

Klasztor miał więc wszystkie zalety obronne, był dobrze przygotowany do dłuższej obrony przed wrogiem, który by nie dysponował ciężką artylerią. Ilość posiadanej żywności oraz amunicji mogła wystarczyć na tydzień obrony. Organizacja samoobrony – jak oceniają autorzy publikacji, naoczni świadkowie i uczestnicy samoobrony – spoczywała w pewnych rękach.

W sobotę 11 marca 1944 roku około godziny dziewiętej rano obserwatorzy z ramienia samoobrony zauważyli sotnie banderowców ciągnące do Podkamienia od strony Czernicy. Wszyscy mieszkańcy miasteczka zaczęli w popłochu opuszczać domy i uciekać do klasztoru. W klasztorze ogłoszono pogotowie obronne, zaczęto barykadować bramę główną, lecz nie można było tego dokonać, gdyż stale napływały masy uciekinierów. Brama nie była jeszcze całkowicie zabarykadowana, gdy na zewnętrznym dziedzińcu od strony organistówki pojawiły się oddziały ukraińskich bojówek. W tym czasie w klasztorze pozamykano wszystkie okna na parterze i wejście do budowli, umacniając je workami ze zbożem, ciężkimi sprzętami klasztornymi – czym tylko się dało. Ogłoszono stan alarmowy, rozdano broń i amunicję, wyznaczono stanowiska, ustalono hasła.

Banderowcy ustawili przed budynkiem klasztoru kilkuosobowy posterunek z ręcznym karabinem

maszynowym. Nie kryli się zbytnio. Wielu z obrońców i przygodnych uciekinierów mogło z wysokich okien klasztoru po raz pierwszy zobaczyć co to za wojsko.

A była to zbieranina młodych mężczyzn, przedziwnie poubieranych: w kozuchy, opończe, wiejskie odzienie, niekompletne mundury wojskowe itp. Na głowach nosili kaszkiety, baranice, mazepanki, jakieś czapki wojskowe. Niektórzy dowódcy – „prowidnyki” – byli umundurowani, na czapce każdego widniał tryzub – herb Ukrainy. Wygląd większości „strілciw” był – jak piszą łowscy – odrażający, budził przerażenie i lęk. Byli brudni, nie ogoleni, część miała zapuszczone niechlujne brody, słowem – wyglądali okropnie.

Dalsza część dnia i noc przebiegła spokojnie, choć nikt z obecnych w klasztorze nie zmrużył oka. O godzinie czwartej nad ranem, był to już 12 marca, ojciec Burda odprawił w kościele mszę świętą w intencji obrońców.

Na zewnątrz panowała złowroga cisza, ale w pewnym momencie jeden z obrońców nierozważnie wychylił się z okna. Padł strzał, pocisk trafił w czoło obrońcy. Około godziny 7.00 kilkunastoosobowa grupa Ukraińców podeszła pod główne wejście do klasztoru. Domagali się otwarcia wierzei i natychmiast przystąpili do ich forsowania z pomocą łomów i siekier. Mocne dębowe drzwi okute żelaznymi sztabami ani drgnęły. Od wewnątrz brama była zabezpieczona stosem worków z piaskiem, ciężkim sprzętem klasztornym, cegłą i kamieniami. W odległości sześciu metrów sień wiodącą na dziedziniec zamykała druga brama, podobnie jak pierwsza zabarykadowana.

Po jakimś czasie banderowcy poniechali użycia łomów i siekier, ustawili naprzeciw bramy karabin maszynowy i zaczęli siać pociskami, sądząc, że uszkodzą bramę wystarczająco poważnie, aby móc ją następnie rozbić. Jednocześnie przypuścili huraganowy ogień ze wszystkich stanowisk zlokalizowanych wokół klasztoru. Obrońcy odpowiadali ogniem, kierując go ku stanowiskom ogniowym nieprzyjaciela. Banderowcy strzelali do okien, a że znajdowali się niżej, ich pociski grzęzły zazwyczaj w sufitach pomieszczeń. Dostrzegli swój błąd i zaczęli się wspinać na mury klasztorne, a nawet na otaczające drzewa, by stamtąd prowadzić bardziej skuteczny ostrzał.

Gwałtowna wymiana ognia trwała kilkanaście godzin. Przerwała go nagle interwencja niewielkiego oddziału wojsk niemieckich, który w tym czasie przypadkowo przejeżdżał w kierunku Tarnopola. Był to jeden z uformowanych przez Niemców oddziałów szybkiego reagowania do zwalczania partyzantki sowieckiej, do którego jako żołnierzy werbowano ochotników ukraińskich. Niemieckiemu dowódcy tego oddziału Ukraińcy oznajmili, że w klasztorze znajduje się polsko-sowiecka partyzantka, którą należy bezwzględnie zniszczyć. Niemcy wyraźnie się śpieszyli, ale słysząc kanonadę zatrzymali się i przygotowali atak na klasztor.

Niemiecki dowódca wydał Polakom rozkaz natychmiastowego opuszczenia klasztoru. Rozkaz błyskawicznie rozniósł się wśród ludności cywilnej znajdującej się wewnątrz. Ukraińcy zaczęli wrzeszczeć, że jeśli klasztor nie zostanie opuszczony, to będzie zbombardowany przez niemieckie lotnictwo.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym właśnie czasie nad klasztorem krążył nie zidentyfikowany samolot. Wystraszona ludność skojarzyła go z niebezpieczeństwem zbombardowania. Wybuchła panika, podniósł się wrzask, krzyk i płacz. Domagano się otwarcia bram i zaczęto przygotowywać się do ucieczki. Nie pomagały nadludzkie wysiłki samoobrony, perswazje bardziej rozsądnych, którzy wskazywali, że tylko w klasztorze istnieje szansa na przetrwanie.

Mimo próśb i gróźb dowództwa samoobrony ludzie rzucili się do wyjść i okien, demolując wszystkie, z trudem przygotowane, zabezpieczenia. Część młodych wyskakiwała przez okna, pozostali cisnęli się na oślep do bramy. Zaczęli rozrzucać worki z piaskiem, usuwać wszystkie przedmioty z barykady i wyważyli jedno skrzydło bramy. Po niedługim czasie od dostarczenia rozkazu opuszczenia klasztoru ludność uciekała w popłochu na oślep, po drogach, ścieżkach, skalnych zboczach wzgórza, kierując się do własnych domów w miasteczku.

Banderowcy zza fortecznych murów strzelali teraz do uciekających jak do kaczek. Ci z uciekinierów, którzy znajdowali się jeszcze w obrębie murów lub w ich pobliżu, cofnęli się do klasztoru. Szukali schronienia w różnych zakamarkach klasztornych, na strychach, w kościele, gdzie się tylko dało.

Przez zdemolowane wejście do budynku klasztoru wdarli się rozjuszeni banderowcy, zabijając po drodze każdego, kogo napotykali w korytarzach, w salach czy piwnicach. Pewną grupę ludzi i dzieci jeszcze żywych wrzucono do studni klasztornej.

Przez cały następny dzień (poniedziałek 13 marca) banderowcy penetrowali wszystkie pomieszczenia

klasztorne, bestialsko mordując znalezionych tam ludzi. Jednocześnie grabili zgromadzone mienie, zarówno klasztorne, jak i należące do ludzi szukających tu schronienia. Rzeczy mniej dla nich użyteczne rozwścieczeni napastnicy demolowali chyba dla swojego bestialstwa i niszczenia.

Banderowcy grasowali w Podkamieniu jeszcze kilka dni, mordując każdego znalezionejgo Polaka czy w ogóle nie-Ukraińca. W sumie zamordowali co najmniej 80 osób w klasztorze oraz około 250 w miasteczku i okolicach. Nikt dokładnie nie policzył ofiar; różne źródła podają od 300 do 700 osób. Rozbieżności te wynikają przede wszystkim z faktu, że nie wiadomo, ilu uciekinierów z Wołynia i dalszych rejonów Podola przebywało w tych tragicznych dniach w Podkamieniu.

Do opuszczenia Podkamienia zmusił banderowców zbliżający się front walk sowiecko-niemieckich. Dobrze wiedzieli, co im zgotuje Armia Czerwona. Polacy, którzy przeżyli, opuszczali swoje kryjówki i po zorientowaniu się w sytuacji zajęli się zwożeniem pomordowanych na cmentarz i ich pogrzebem. Niektórym rodzinom udało się pochować swoich najbliższych w oddzielnych mogiłach. Uciekinierów z Wołynia i innych nie rozpoznanych pochowano we wspólnym grobie.

Ratujemy wartość największą – życie

Po tych tragicznych wydarzeniach – spaleniu Huciska Brodzkiego, zagładzie Huty Pieniackiej i wymordowaniu ludności polskiej w Podkamieniu

– stało się jasne, że nie mamy się co ludzić: czeka nas najgorsze.

Pewnego dnia w połowie marca w nocy przybiegła do nas z Perelisek Ukrainka Olga Semczuk, przyjaciółka mamy, przerażona, w szoku, nie mogła wykrztusić tego, co chciała powiedzieć. Wreszcie z płaczem wybełkotała:

— Uciekajcie! Wydano na was wyrok, nie przeżyjecie niedzieli.

Niczego więcej nie można było z niej wydusić.

— Uciekajcie, uciekajcie, jak najszybciej, zaraz, jutro! – powtarzała w kółko.

Nie dowiedzieliśmy się, kto wydał wyrok i za co. Do dziś nie wiem, skąd o tym wiedziała. Ale wiem teraz, kto takie wyroki wydawał. Otóż wyroki takie wydawali: niejaki Rajko, samozwańczy „Sudia”²¹⁾ z Czernicy, komendant policji ukraińskiej w Podhorcach Krasnoselśkyj oraz Wołodymyr Czerniawśkyj, miejscowy prowidnyk UPA. Dwaj ostatni byli inicjatorami i uczestnikami zagłady Huty Pieniackiej oraz ludobójstwa w Podkamieniu²²⁾.

Wołodymyr Czerniawśkyj, posługujący się nazwiskiem Włodzimierz Czerniawski, urodzony w Podkamieniu absolwent Politechniki Lwowskiej, po wojnie został rozpoznany i aresztowany w Polsce na ziemiach zachodnich. Za zbrodnie popełnione w Hucie Pieniackiej, Podkamieniu i innych miejscowościach Sąd Apelacyjny w Katowicach na sesji wyjazdowej w Koźlu 13 stycznia 1950 r. skazał go na karę śmierci.

²¹⁾ Sudia ukr. – sędzia.

²²⁾ Zob. E. Prus, *SS-Galizien – patrioci czy zbrodniarze*, Wyd. NOR-TOM Wrocław 2001, s. 132-142 i s. 254, oraz E. Gross, *Tragedia Podola*, Wyd. POLIKART Warszawa 1995 s. 308-311.

Po ostrzeżeniu, że miejscowa UPA wydała na nas wyrok, moi rodzice postanowili ostatecznie, że wyjeżdżamy, uciekamy z tego padolu nieszczęścia, kaźni i rozpacz. Każda godzina pozostawania dłużej oznaczała śmiertelne niebezpieczeństwo. Wprawdzie ojciec, legionista zaprawiony w bojach z bolszewikami w kampanii kijowskiej, nadal chciał zostać i bronić swego mienia za cenę życia, ale mama podjęła nieodwołalną decyzję.

— Jeśli zostajesz, to ja biorę dzieci i uciekam.

Ojciec skapitulował. Widziałem, jak trudno było mu się z tym pogodzić. Jeszcze raz w głębokim smutku i zamyśleniu powoli obszedł cały majątek, wszystkie pomieszczenia domu. Jakby się żegnał z tym wszystkim, co tu stworzył, na co pracował tyle lat. Jakby chciał dokładnie zapamiętać wszystko, co tu zostawiał. A zostawiał tu wszystkie swoje dokonania, swoje sukcesy i niepowodzenia. Wszystko, bez czego nie wyobrażał sobie życia. Chyba dopiero teraz, po latach, naprawdę dobrze zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo to wtedy przeżywał. Musieliśmy jednak ratować wartość najcenniejszą – życie.

Front wschodni zbliżał się z godziny na godzinę. Było już coraz głośniejsze słychać głębokie dudnienie frontowych dział. Niemców – ani śladu. Armia komunistycznego reżimu mogła zjawić się w każdej chwili. Ukraińcy szaleli w amoku mordowania Polaków. Spieszyli się, wiedzieli, że władza sowiecka krwawo się z nimi rozprawi za współpracę z Niemcami.

Przygotowania do naszego wyjazdu trwały bardzo krótko. Każdy dzień, każda godzina mogły kosztować życie. Na następny dzień zostało zamówionych dwoje sań.

Ojciec skontaktował się z organizacją samoobrony w Brodach w celu przekazania jej całego uzbrojenia, jakie posiadaliśmy. Dwa worki z bronią i amunicją ukryto na dnie sań. Plan był taki, że gdyby po drodze do Brodów napadli na nas Ukraińcy, będziemy się bronić. Każdy z powożących sańmi był członkiem samoobrony dobrze przeszkolonym w posługiwaniu się bronią. Natomiast zabieranie jej w dalszą drogę było wysoce niebezpieczne, a tutaj broń była niezwykle potrzebna.

Nie wiadomo, w jaki sposób okoliczni mieszkańcy dowiedzieli się, że wyjeżdżamy. Rano dom był pełen ludzi. Przyszli Polacy i Ukraińcy, ludzie nam bliscy, ale również tacy, których prawie nie znaliśmy, niby się pożegnać. Byłbym niesprawiedliwy, gdybym źle oceniał wszystkich. Celem wizyty niektórych naprawdę było pożegnanie. Wiele cennych rzeczy rodzice rozdali przyjaciółom i znajomym. Niemniej rabowanie naszego mienia zaczęło się jeszcze przed naszym wyjazdem. Pakowaliśmy się w pośpiechu. Zabieraliśmy głównie żywność i trochę ubrań. W pewnym momencie położyłem obok siebie prawie już wypełnioną walizkę. Sięgnąłem do szafy, żeby wyjąć kolejne rzeczy, a gdy odwróciłem się znowu, walizki wraz z zawartością już nie było. Potem dowiedzieliśmy się, że na drugi dzień całe nasze gospodarstwo zostało doszczętnie obrabowane. Powyrywano wszystkie drzwi i okna, zerwano podłogi.

Sanie ruszyły 17 marca 1944 roku w południe. Śnieg był jeszcze duży, ale zbliżała się odwilż, mróz zelżał. Ruszaliśmy w nieznane. Serce ścisnęło, lzy napływały do oczu, nie mogliśmy ich powstrzymać. Moja siostra Jola była za malutka, aby

dobrze rozumieć, co się dzieje, niemniej zanosila się płaczem. Nastrój rozpaczony ogarniał nas wszystkich. Zostawialiśmy dorobek całej naszej rodziny i nie wiedzieliśmy, czy dożyjemy jutra. Nie zapomnę widoku, kiedy dotarliśmy już do figury Matki Boskiej przed Wołochami na drodze do Ponikwy i sylwetka naszego domu zaczęła znikać za wzgórzem. Mama, płacząc, przeżegnała się. W bezsilnym smutku pomyślałem sobie: czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę nasz dom? Dom zbudowany z takim trudem, w którym spędziliśmy dwa lata szczęśliwego życia oraz pięć lat straszliwych trudów wojny i ludobójstwa, zgotowanego przez ukraińskich nacjonalistów spod znaku OUN-UPA. Wyroki Historii udzieliły negatywnej odpowiedzi na moje pytanie – nikt z nas już nigdy naszego domu nie ujrzał.

Przejechaliśmy szybko przez Wołochy. Przed naszym kościołem parafialnym mama kazała na chwilę zatrzymać sanie, zmówiliśmy krótką modlitwę. Plebania była pusta, ksiądz proboszcz Reczuch, ratując życie, przeniósł się już wcześniej do Brodów. Gospodarstwa wyludnione, nikt nie wyjrzał nawet przez okno. Minęliśmy zdewastowany, niegdyś piękny pałac Bocheńskich, jezioro, browar po prawej stronie. Sanie mknęły szybko w kierunku Brodów.

Do Brodów udało się nam dotrzeć szczęśliwie jeszcze tego samego dnia. Zatrzymaliśmy się u kuzyna mamy, Jana Horbaczyńskiego. Przyjęto nas życzliwie. Rozlokowaliśmy się wygodnie. Kuzynostwo mieli obszerny dom, wystarczyło miejsca dla wszystkich. Brody były zamieszkane w ponad pięćdziesięciu procentach przez Polaków, Żydów było ponad czterdzieści procent, odsetek Rusinów.

czyli Ukraińców był znikomy. Tak było przed wojną. Faszyści niemieccy i ukraińscy wymordowali lub wypędzili z Brodów wszystkich Żydów. Mimo to w marcu 1944 roku było w mieście więcej ludności niż przed wojną. Schronili się tu bowiem polscy wygnańcy, którym – tak jak nam – udało się ująć z życiem z ziem Podola i Wołynia, spływających polską krwią, palonych i rabowanych przez terrorystyczne watahy UPA w okrutnym, morderczym szaleństwie.

Skupisko ludności polskiej w Brodach w tym czasie liczyło ponad trzydzieści tysięcy osób, działały silne jednostki AK wyposażone w broń, zdolne stawić czoła znacznej sile bandytów. Ukraińscy terroryści mieli wywiad wszędzie, wiedzieli o tym dobrze. Nie odważyli się zaatakować takiej siły. W Brodach stały jednostki Wehrmachtu, który niezbyt sprzyjał ukraińskim bandom. Jedynym zagrożeniem były bataliony SS-Galizien stacjonujące w Brodach, które zachowywały się agresywnie w stosunku do Polaków. Miasto kipiało życiem, co budziło moje żywe zainteresowanie. Kwitł handel z Niemcami. Żołnierze niemieccy, zwłaszcza ci, którzy wracali z frontu, sprzedawali wszystko, przeważnie broń, ale także najróżniejsze rzeczy zrabowane w Rosji. Ruch samochodowy i kolejowy był intensywny. Transporty broni, amunicji i wyposażenia szły na front. Ze wschodu zrabowane mienie. Oddziały wojska jechały w obu kierunkach: zmęczeni, wyczerpani i ranni z frontu, a nowe siły na front. Widziałem na stacji kolejowej transport rannych żołnierzy, których zabrano z pola bitwy. Jechali stłoczeni w wagonach towarowych, byli w przerażającym stanie, krwawili bez środków opatrunkowych, bez dostatecznej opieki lekarskiej.

Kilku lekarzy dokonywało operacji w prymitywnych warunkach w wagonie. Zmarłych wynoszono na wozy konne, które jechały na cmentarz. To już nie byli ci butni „Übermenschen”, którzy „Blitzkriegiem” opanowali większość Europy. Polscy przechodnie z trwogą patrzyli na tych „nadludzi” pokonanych i pobitych. U Horbaczyńskich mieszkano na kwaterze dwóch oficerów Wehrmachtu. Zachowywali się spokojnie i sympatycznie. Niedawno zostali wycofani z frontu. Z przerażeniem w oczach opowiadali, co się tam dzieje. Straszliwie bali się nowej broni rakietowej, jaką coraz częściej stosowali Rosjanie, tak zwanych katusz.

Po kilku dniach od naszego przyjazdu do Brodów ku naszej ogromnej radości szczęśliwie do nas dotarł wujek Wojtek Kierepka z żoną i malutkim dzieckiem. Wujostwo byli przerażeni i wycieńczeni do ostatnich granic. Przywieźli straszne potwierdzenie tego, co widziałem w Hucie Pieniackiej, oraz tragiczną informację, że rodzice mojej mamy, Wincenty i Urszula Kierepkowie, moi dziadkowie, nie żyją. Opowieść wujka o przebiegu zdarzeń w Hucie wprowała nas wszystkich w krańcowe przerażenie i rozpacz. Opowieść tę przytoczyłem w rozdziale „Zagłada Huty Pieniackiej”.

Dalsze pozostawanie w Brodach nie było bezpieczne. Wieczorami było już słyszeć kanonadę frontu, zbliżała się znana nam już czerwona nawała, po której można się było spodziewać tylko nieszczęść. Postanowiliśmy jechać dalej, do Warszawy. A w Warszawie, jak wiadomo, wybuchło powstanie. Ale o tym już w innej książce.

Po latach

Proponuję Czytelnikowi przyjrzeć się listom pomordowanych, zamieszczonych w załącznikach. Są tam całe rodziny, rodzice z kilkorgiem nieletnich dzieci, matki z małymi dziećmi. Ile jest tam niemowląt, malutkich dzieci, noworodków! Cóż winne kilkuletnie dziecko, komu zrobiło coś złego? Cóż komu winien noworodek, który dopiero przed chwilą zobaczył ten straszny świat? Nie zdążył się nawet rozejrzeć, ile jest wokół niego zła, a zbrodniczym butem rozdeptano jego malutkie serce na kamiennej posadce w kościele. Jak może żyć dalej człowiek, który popełnił takie zbrodnie? Czy taki zbrodniarz ma sumienie? Czy wierzy w Boga? Czy śpi spokojnie? Czy takim zbrodniarzom można darować winy i zapomnieć o tym, czego się dopuścili?

Kiedy myślę o zbrodniach popełnionych w Hucie Pieniackiej, w Hucisku Brodzkim i Podkamieniu przychodzi mi na myśl modlitwa z poematu Zbigniewa Maurycego Kowalskiego KAMIENIE NIE MILKNA, czyli Huty Pieniackiej pamięci żałobny rapsod.²³⁾

*Panie, jeśli tu jesteś, w co należy wątpić,
spójrz na dzieło oprawców, spójrz na ich ofiary.
Świat przez Ciebie stworzony choć chromy za kary,
do tak potwornej zbrodni nie dopuścił nigdy.
Czy dotychczas wbijano nóż, kosę lub widły
W niewinny brzuszek dziecka?*

²³⁾ E. Prus *SS-Galizien patrioci czy zbrodniarze* str.243, Wyd. NORTOM Wrocław. Jak też S.S. Żuk *Na Podolu i w Warszawie* str.156, Wyd. własne.

Czy ktoś może z podłości pchać innych do piekła?
Czy ktoś może wyrwać płód z ciała kobiety?
Tu się właśnie to stało, chyba nie zaprzeczysz?
Bytujemy czasowo w powłoce człowieka,
Który często bez podstaw na swój los narzeka,
a co ma począć człowiek z rzezi ocalały,
co swe dzieci przykrywa w dole wiechciem małym?
Dlatego Królu świata i Wszechmocny Panie
Przyjmij nasze do Ciebie o pomstę wołanie:
Niech rzyni z potomstwem, z setnym pokoleniem,
Mają w oczach swe dzieło lub stracą istnienie.
Niech krew za sprawą katów za dzieci przelana
Sprawi, by nacja zbójów została zmazana.
Cośmy się bili o to całymi wiekami,
by kościoły nie zostały nagle meczetami
cośmy ciągle bronili tak stepy jak lasy,
by Rusinki nie były na Krym brane w jasyr,
cośmy się opierali azjatyckiej chmurze,
by Podola nie poddać turańskiej kulturze,
teraz przez obronionych paleni i bici
prosimy Cię nasz Panie abyś ich rozliczył.
Że o to Cię prosimy? Nas stać tylko na to,
Chyba że tamci w dole zmażą winę katom.
A dopóki żyjemy to Im przysięgamy,
Że naszego Podola nigdy nie oddamy.
Nie oddamy nikomu ich skrwawionej ziemi.
A z popiołów w jej obronie razem powstaniemy.
A jeśli kat spróbuje zamataczyć długi,
W krwi hartowany kamień do świata przemówi.
Choćby potop nastąpił to dopniemy celu.
Pomóż nam, fiat iustitia, ruat coelum.

Prof. dr hab. o. Mieczysław Krapiec urodzony na Podolu w Berezowicy Małej koło Zbaraża w przedmowie do książki Władysława Kubowa zatytułowanej *Terroryzm na Podolu*²⁴⁾, napisał:

„Nieosądzone zbrodnie rodzą nowe. Ten straszny terror, który dotknął niewinną ludność polską na dawnych kresach nie został nigdy potępiony, a zatem w pewnym sensie uzyskał cichą akceptację. Zbrodniarze do dziś nie przyznają się do winy, a świat ich nie potępia. Później terroryzm przenosił się z miejsca na miejsce, atakował mordował, na ogół bezkarnie, w imię różnych obłąkańczych wizji. Dopiero gdy uderzył w najpotężniejsze państwo świata wydano mu bezwzględny wojnę. Gdyby jednak został w porę zauważony, gdyby ludobójstwo na polskich ziemiach wschodnich w latach 1939–1946 doczekało się światowego potępienia i pociągnięcia winnych do odpowiedzialności, być może mordowanie bezbronnych ludzi nie stałoby się sposobem rozwiązywania konfliktów i dochodzenia swoich racji. W tym sensie za obecne ataki terrorystów odpowiedzialna jest cała ludzkość, która w porę nie zareagowała na terroryzm jako metodę walki politycznej. Terroryzm, zarówno ten z przeszłości jak i obecny, musi spotkać się z potępieniem. Gdziekolwiek by się nie wydarzył i kogokolwiek by nie dotknął. Musi być zwalczany zarówno wtedy, gdy atakuje światowe mocarstwa, jak i unicestwia biedne afrykańskie plemię”

W latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia byłem w czeskich Lidicach. Jest to wieś w Czechach na wschód od Kładna. Całkowicie zniszczona przez Niemców w odwet za pomoc udzieloną zamachowcom

²⁴⁾ Zob. W. Kubów *Terroryzm na Podolu*, wyd. Warszawa 2003 r.

na zastępcę prorektora Czech i Moraw, M. Heydricha. Mężczyzn powyżej 16 lat rozstrzelano. Kobiety i dzieci wywieziono do Niemiec. Jest tam teraz piękne muzeum dokumentujące zbrodnie dokonane przez niemieckich faszystów.

O czeskich Lidicach wie cały świat. Wszystkie dzieci w czeskich szkołach uczą się o Lidicach. A o Hucie Pieniackiej? Kto wie? Jaki podręcznik historii w polskich szkołach podaje tę informację?

O francuskim Oradour-Sur-Glane gdzie oddziały SS Das Reich wymordowały wszystkich mieszkańców /642 osoby/ i spaliły zabudowania wie cały świat. Traktuje się to jako symbol okrucieństwa drugiej wojny światowej.

A w Polsce? Milczy się o zbrodniarzach którzy powinni być surowo ukarani i potępieni. Nie mówi się o ich zbrodniach, nie ostrzega się świata że ci zbrodniarze mogą powtórzyć swoje bandyckie dzieło.

Cóż się dziwić, skoro przez ponad pół wieku zamknięto usta naszym historykom i ludziom ciężko poszkodowanym przez wyznawców zbrodniczej ideologii Doncowa, Konowalca i Bandery. Ludzie, którym udało się przeżyć ukraińskie czystki etniczne, którzy utracili rodziny i krewnych, a także niejednokrotnie zostali pozbawieni dorobku wielu pokoleń, za mówienie prawdy byli prześladowani i potępiani. Ślady urazów fizycznych i psychicznych będą nosić do końca życia. A i teraz w imię fałszywie pojętych interesów politycznych nasze encyklopedie i podręczniki historii też milczą o Hucie Pieniackiej. Dopiero w ostatniej *Nowej encyklopedii powszechnej PWN* (tom 11) w hasłach Huta Antonowiecka, Huta

Pieniacka, Huta Stepańska, zamieszczono krótkie wzmianki o tym, co się tam stało. Nie podano jednak prawdy, że głównymi inicjatorami i uczestnikami tego ludobójstwa były zbrojne oddziały OUN i UPA.

Być może, Któryś z Czytelników moich wspomnień posadzi mnie o nienawiść do Ukraińców. Nic bardziej mylnego. Miałem wielu przyjaciół wśród Ukraińców. Chodziłem do szkoły, w której połowę uczniów w klasie stanowili Ukraińcy. Znałem język ukraiński jak ojczysty polski. Przez wiele lat byłem dwujęzyczny. Teraz już ten ukraiński w mojej świadomości trochę schował się w cień. Ale wystarczy chwila rozmowy i wraca z powrotem. W ciągu swego długiego życia byłem w wielu krajach świata. Poznałem wiele narodów i kultur. Mogę z całą pewnością powiedzieć, że Ukraińcy są nam bardzo bliscy. Ich mentalność, obyczaje, kultura i zwyczaje niewiele odbiegają od naszych. Przecież ponad tysiąc lat nasze narody wzajemnie się przenikają. Chyba najwięcej małżeństw mieszanych to były właśnie małżeństwa polsko-ukraińskie. Ani Ukraińcy, ani Polacy nie przeprowadzają się do innej części świata. Przez następne tysiąclecia będą żyć obok siebie. Dlatego porozumienie i pojednanie musi nastąpić.

Nie można całego bratniego narodu obwiniać za zbrodnie, które popełnili fanatycy obłąkańczej ideologii. Zbrodniczymi metodami posługiwali się również w stosunku do własnych rodaków. Tych zbrodniarzy był jeden, może kilka procent wśród ukraińskiego społeczeństwa. Pojednanie musi jednak być oparte na prawdzie. Zbrodniarze

muszą być potępieni. Winny musi się przyznać do winy i dopiero wtedy może uzyskać przebaczenie. Znany historyk i wielki znawca stosunków polsko – ukraińskich, Ukrainiec Wiktor Poliszczuk pisze, **nie ma zbrodniczych narodów są tylko zbrodnicze ideologie i organizacje.**

Rodziny i potomkowie pomordowanych mieszkańców Huty Pieniackiej musieli czekać ponad sześćdziesiąt lat na zgodę ukraińskich władz na postawienie pomnika i odprawienie uroczystości pogrzebowych na miejscu zbrodni. Dzięki wieloletnim usilnym staraniom Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, a szczególnie ministra Andrzeja Przewoźnika oraz licznych organizacji kresowych w Polsce i na świecie, uzyskano taką zgodę.

Staraniem władz polskich na miejscu zbiorowej mogiły obok pagórka, na którym ongiś stał kościół, wybudowano Pomnik Ofiar Ludobójstwa mieszkańców Huty Pieniackiej. Pomnik przedstawia trzymetrowy, prosty w formie, wykuty w granicie krzyż z Orłem w Koronie i dwujęzyczne napisy informacyjne. Po obu stronach krzyża stoją dwie kolumny również z granitu z wykutymi od góry do dołu imionami i nazwiskami pomordowanych, których nazwiska udało się ustalić. Są tam również imiona i nazwiska moich dziadków: Urszuli Kierepka i Wincentego Kierepka.

Tablice informacyjne (oprócz inwokacji Kornela Ujejskiego, *Z dymem pożarów*) głoszą:

**PAMIĘCI
SPOCZYWAJĄCYCH TU
OKOŁO 1000 POLAKÓW
MIESZKAŃCÓW WSI
HUTA PIENIACKA
I OKOLICZNYCH MIEJSCOWOŚCI
OKRUTNIE ZAMORDOWANYCH
28 LUTEGO 1944 ROKU
SPALONA WIEŚ PRZESTAŁA ISTNIEĆ
NIECH SPOCZYWAJĄ W POKOJU**

**RODZINY I RZĄD
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ**

2005

Może dziś i w przyszłości przechodnie i żyjący jeszcze mordercy, mieszkańcy sąsiednich wiosek, nakreślą znak krzyża na swych kainowych piersiach za tych niewinnych Polaków, których szczątki spoczywają w tej ziemi.

A gdyby na miejscu pustynnym po Hucie Pieniackiej podnieść garść ziemi i czule ścisnąć w dłoni popłynęłyby z niej krople naszej polskiej krwi.

*Nas już tam nie ma,
Zabrano nam wszystko.
Ale my stamtąd pochodzimy,
I tego nam nikt nie odbierze.*

ILUSTRACJE



1. J. Kossak Palac hr. Bocheńskich w Ponikwie.



2. Wielki kamień w Podkamieniu.
Zdjęcie nieznanego autora.



3. Na skrzyżowaniu traktów w Hucie Pieniackiej stała rzymsko katolicka figura Matki Boskiej. W czasie zagłady wsi została rozbita i zniszczona. Pozostała tylko kolumna na trzech kamiennych stopniach. Widoczny napis „*Anno Domini 1886*”. Figurę postawiono na cześć jednego z powstańców styczniowych. Powstańcy pędzeni na sybir, często uciekali po drodze i chronili się w Hucie Pieniackiej. Stan z roku 2003.

Foto. A. Rokita.



4. Droga wokół góry Patłatej do Huty Pieniackiej.

Foto. A. Rokita



5. Dworzec kolejowy w Brodach.
Foto. A. Rokita



6. Ruiny kościoła parafialnego w Ponikwie.
Foto. A. Rokita rok 2003



7. Obszar pustynny na miejscu, gdzie kiedyś tętniła życiem wzorowo zagospodarowana wieś Huta Pieniacka.

Foto. A. Rokita rok 2003

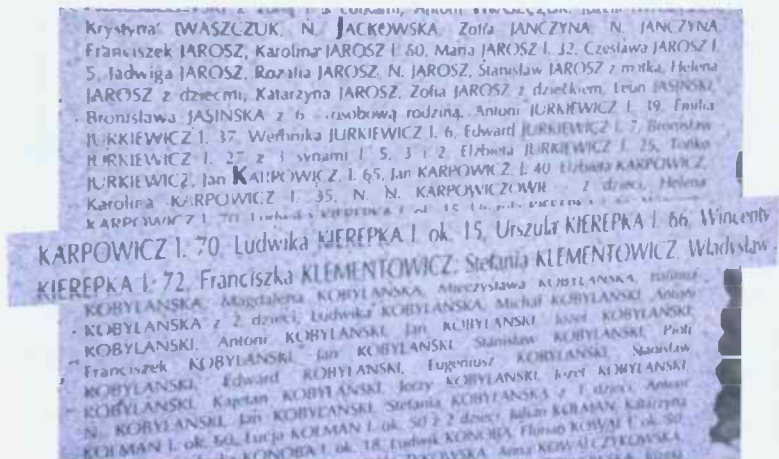


8. Ostatni proboszcz parafii Ponikwa pow. Brody, ks. prałat Antoni Reczuch pochowany we Wrocławiu-Leśnicy.

Foto. A. Samerek



9. Pomnik na symbolicznym cmentarzu w Hucie Pieniackiej.
Uroczystość poświęcenia w dniu 21 października 2005 r.
Foto. M. Reszczyk



10. Imiona i nazwiska Kierepków, krewnych autora wykute wśród innych pomordowanych osób.

Foto. M. Reszczyk

ZALĄCZNIK 1

Lista zamordowanych w Hucisku Brodzkim 13 lutego 1944 r., opracowana przez Gracjana Adamowicza, naocznego świadka wydarzeń.

1. Bąkowski Grzegorz	lat 89
2. Bąkowski Mikołaj, nazywany Kogutem	lat 60
3. Bąkowski Piotr	lat 44
4. Bąkowski Władysław	lat 29
5. Bernacka Maria	lat 29
6. Bernacka, imię nie znane, córka Marii	lat 7
7. Bernacki Jan	lat 19
8. Bojarska Leokadia	lat 21
9. Bojarska Stanisława	lat 17
10. Bojarski Michał	lat 24
11. Bojarski Stanisław	lat 42
12. Bojarski, imię nie znane	lat 3 lub 4
13. Gąsiorek Maria	lat 34
14. Gąsiorek Michał	lat 73
15. Gąsiorek Piotr	lat 73
16. Gąsiorek, imię nie znane	
17. Hanicka Janina	lat 33
18. Kozak, imię nie znane	
19. Michalewski Tadeusz	16 miesięcy
20. Oleniuk Antonina	lat 43
21. Olszańska Maria	lat 70
22. Olszański Jan	6 miesięcy
23. Olszański Józef	lat 3
24. Olszański Mikołaj	lat 40
25. Podgórska Petronela	lat 70
26. Popowicz Maria	
27. Pryszczewski Michał	lat 52

28. Samoch, imię nie znane	
29. Samoch, imię nie znane	
30. Sokołowski Stanisław	lat 70
31. Stankiewicz Rozalia	lat 70
32. Suczawa Ludwik	lat 58
33. Sznuć Bolesław	
34. Sznuć Jan	
35. Żeglińska, imię nie znane	lat 29
36. Żeglińska Janina	lat 23
37. N.N. Jasio	dziecko
38. N.N. Oleńka	dziecko
39. gajowy	

ZAŁĄCZNIK 2

O zamordowanych w Hucie Pieniackiej

Do dnia dzisiejszego nie udało się ustalić dokładnej listy pomordowanych w Hucie Pieniackiej. Szacunki przytaczane w literaturze historyczno-kresowej wahają się od 800 do 1400 osób. Aleksander Korman w książce *Nie ukarane zbrodnie...* podaje liczbę co najmniej 868 osób, którą powtarza *Encyklopedia PWN*. Trudność polega głównie na tym, że w czasie zagłady w Hucie Pieniackiej poza stałymi mieszkańcami przebywało około 700 osób nigdzie nie zarejestrowanych. Byli to oprócz ukrywających się Żydów uciekinierzy głównie z Wołynia, gdzie ludobójstwo rozpoczęło się wcześniej, i ludzie ci uważali, że w większym skupisku uda się im uratować życie.

Wiadomo, że z zagłady uratowało się ponad 200 osób, które rozbiegły się po świecie. IPN posiada sto kilkadziesiąt zeznań naocznych świadków tej zbrodni, między innymi moje. O ile mi wiadomo, IPN nie wytoczył dotąd żadnego śledztwa przeciwko sprawcom tej zbrodni; nie wiadomo mi również o jakichkolwiek innych krokach podjętych w tym kierunku przez polskie władze. Natomiast władze Wielkiej Brytanii po wyemitowaniu filmu Hendy'ego pt. „SS in Britain” o ukrywających się na Wyspach Brytyjskich esesmanach z Dywizji SS Galizien uruchomiły śledztwo w tej sprawie. Film Hendy'ego dokumentuje wiele zbrodni popełnionych przez Dywizję SS Galizien na Kresach, między innymi w Hucie Pieniackiej. Przytacza zeznania jeszcze żyjących mieszkańców Huty Pieniackiej, którym udało się przeżyć tę masakrę. W obecności naszego prokuratora z IPN zeznawałem w tej sprawie przed trzema oficerami Scotland Yardu, którzy przyjechali do Polski w celu zapoznania się z istniejącą u nas dokumentacją. Dalszy tok śledztwa nie jest mi znany. Polska telewizja, pomimo obietnic, filmu Hendy'ego dotychczas nie wyemitowała.

Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie na moją prośbę przekazała mi 5 lipca 2005 r. poniższą listę pomordowanych w Hucie Pieniackiej.

WYKAZ MIESZKAŃCÓW WSI HUTA PIENIACKA ZAMORDOWANYCH 28 LUTEGO 1944 R.

Przygotowany na podstawie istniejącej dokumentacji i relacji ocalałych mieszkańców Huty Pieniackiej. Są to ofiary, które udało się zidentyfikować w sposób bezsporny.

1. Adaszyńska Franciszka
2. Antoszków Mikołaj
3. Bąkowski Leon
4. Bąkowska Bronisława, lat 45
5. Bąkowski Józef
6. Bernacka Michalina, lat 16
7. Bernacka Paulina
8. Bernacka Sabina
9. Bernacka Stefania, lat 15
10. Bernacki Andrzej
11. Bernacki Kazimierz
12. Bernacki Stanisław, lat 20
13. Bernacki Władysław
14. Bernacki Wojciech
15. Biniewicz Michał, lat 40
16. Biniewicz Rozalia, lat 38
17. Biniewicz Stefania, lat 16
18. Biniewicz Klementyna, lat 8
19. Biniewicz Józefa, lat 14
20. Biniewicz Jadwiga, lat 28
21. Biniewicz Czesław, lat 8
22. Biniewicz Helena, lat 6
23. Błaszkwicz Władysław
24. Błaszkwicz Helena
25. Błaszkwicz. Katarzyna

26. Błaszkievicz Józef
27. Błaszkievicz Franciszek
28. Błaszkievicz Zofia
29. Błaszkievicz Andrzej
30. Bojarska Elżbieta, lat 17
31. Bojarska Michalina, lat 19
32. Bojarski Michał, lat 24
33. Bukowy Jan, lat 70
34. Bukowy Rozalia, lat 60
35. Bukowy Władysław
36. Bukowy Józefa, lat 22
37. Bukowy Gabriela, 9 miesięcy
38. Bukowy Tadeusz, lat 29
39. Bukowy Janina
40. Bukowy imię nie znane, lat 10
41. Bukowy imię nie znane, lat 8
42. Bukowy imię nie znane, lat 2
43. Bukowy Piotr
44. Cały Jadwiga
45. Chorostecki Piotr
46. Chrypliwy Stanisław, lat 30
47. Chrypliwy Rozalia, lat 27
48. Chrypliwy Jan, lat 8
49. Chrypliwy Waldemar, lat 4
50. Czajka Piotr (Ukrainiec)
51. Czajka imię nie znane (Polka żona Piotra)
52. Czyżewska Antonina
53. Czyżewska Regina
54. Czyżewska Helena
55. Czyżewska Karolina
56. Czyżewski Michał
57. Fedyczkowska Anna
58. Fedyczkowska Emilia

59. Fedyczkowska Katarzyna
60. Fedyczkowska Sabina
61. Fedyczkowski imię nie znane, niemowlę
62. Fedyczkowski Adam
63. Fedyczkowski Bronisław
64. Fedyczkowski Bronisław
65. Fedyczkowski Jan
66. Fedyczkowski Józef
67. Fedyczkowski Michał
68. Fedyczkowski Stanisław
69. Giernat Franciszek
70. Giernat Jan
71. Goldhamer Maksymilian
72. Goldhamer Zygmunt, lat 20
73. Golenberg Chaim, lekarz
74. Golenberg imię nie znane, żona Chaima
75. Golenberg imię nie znane, dziecko Chaima lat 10
76. Golenberg imię nie znane, dziecko Chaima lat 4
77. Górską Klara
78. Górski Antoni
79. Górski Jan
80. Górski Józef
81. Górski Marcin
82. Hauptman Franciszek
83. Hauptman Franciszek
84. Hauptman Jan
85. Hauptman Józef
86. Hauptman Józefa
87. Hauptman Julia
88. Hauptman Kazimierz
89. Hauptman Ludwika
90. Hauptman Stanisław
91. Hauptman Zofia

92. Hnatiuk Jan
93. Hnatiuk Grzegorz
94. Hnatiuk Maria
95. Hnatiuk Katarzyna
96. Iwaszczuk Antoni
97. Iwaszczuk Józefa
98. Iwaszczuk Krystyna
99. Jackowska imię nie znane
100. Janczyna Zofia
101. Janczyna imię nie znane
102. Jarosz Franciszek
103. Jarosz Karolina, lat 50
104. Jarosz Maria, lat 32
105. Jarosz Czesława, lat 5
106. Jarosz Rozalia
107. Jarosz imię nie znane
108. Jarosz Stanisław
109. Jurkiewicz Antoni, lat 39
110. Jurkiewicz Emilia, lat 37
111. Jurkiewicz Weronika, lat 6
112. Jurkiewicz Edward, lat 7
113. Jurkiewicz Bronisław, lat 27
114. Jurkiewicz Elżbieta, lat 25
115. Jurkiewicz imię nie znane, lat 5
116. Jurkiewicz imię nie znane, lat 3
117. Jurkiewicz imię nie znane, lat 2
118. Karpowicz Jan, lat 65
119. Karpowicz Jan, lat 40
120. Karpowicz Elżbieta
121. Karpowicz Karolina, lat 35
122. Karpowicz imię nie znane, dziecko
123. Karpowicz imię nie znane, dziecko
124. Karpowicz Helena, lat 70

125. Kierepka Ludwika, lat 37
126. Kierepka Urszula, lat 66
127. Kierepka Wincenty, lat 72
128. Kobylańska Barbara
129. Kobylańska Helena
130. Kobylańska Helena
131. Kobylańska Maria
132. Kobylańska Magdalena
133. Kobylańska Paulina
134. Kobylańska Ludwika
135. Kobylański Michał
136. Kobylański Antoni
137. Kobylański Antoni
138. Kobylański Jan
139. Kobylański Józef
140. Kobylański Franciszek
141. Kobylański Jan
142. Kobylański Stanisław
143. Kobylański Piotr
144. Kobylański Edward
145. Kobylański Stanisław
146. Kobylański Kajetan
147. Kobylański Jerzy
148. Kobylański Józef
149. Kobylański imię nie znane
150. Kobylański Jan
151. Kobylańska Stefania
152. Kobylański imię nie znane, dziecko
153. Kobylański imię nie znane, dziecko
154. Kobylański imię nie znane, dziecko
155. Kolman Antoni
156. Kolman Julian
157. Kolman Łucja

158. Konoba Katarzyna
159. Konoba Ludwika
160. Kowal Florian, lat 50
161. Kowal Janina, lat 50
162. Kowalczykowska Anna
163. Kowalczykowska Anna
164. Kowalczykowska Emilia
165. Kowalczykowska Władysława
166. Kowalczykowska Józefa
167. Kowalczykowska Paulina
168. Kowalczykowska Alfonsyna
169. Kowalczykowska Karolina
170. Kowalczykowska Franciszka
171. Kowalczykowska imię nie znane
172. Kowalczykowska Janina
173. Kowalczykowska Teodozja
174. Kowalczykowska Katarzyna
175. Kowalczykowska Stefania
176. Kowalczykowska Katarzyna
177. Kowalczykowska Waleria
178. Kowalczykowska Maria
179. Kowalczykowski Antoni
180. Kowalczykowski Szczepan
181. Kowalczykowski Stanisław
182. Kowalczykowski Franciszek
183. Kowalczykowski Bronisław
184. Kowalczykowski Michał
185. Kowalczykowski Wojciech
186. Kowalczykowski Jan
187. Kowalczykowski Z
188. Kowalczykowski Ludvig
189. Kowalczykowski Jan
190. Kowalczykowski Karol

191. Kowalczykowski Bronisław
192. Kowalczykowski Józef
193. Kowalczykowski Józef
194. Kowalczykowski Tadeusz
195. Kowalczykowski Stanisław
196. Kowalczykowski Stanisław
197. Kowalewska Bronisława
198. Kowalska Helena, lat 42
199. Kowalski Stanisław, lat 35
200. Kowalski Józef, lat 11
201. Kowalska Helena, lat 6
202. Kowalski Józef, lat 46
203. Kowalski imię nie znane, syn Józefa
204. Kowalski imię nie znane, syn Józefa
205. Kowalski imię nie znane, syn Józefa
206. Kowalski imię nie znane
207. Kowalska imię nie znane, żona Józefa
208. Kowalski imię nie znane, dziecko
209. Kufner Antoni
210. Kufner Ludwika
211. Kufner Wojciech
212. Kufner Eugenia
213. Kufner Helena
214. Lintmajer Józef
215. Lintmajer Jan
216. Lintmajer Joanna
217. Maksymów Władysław
218. Mazur Tomasz
219. Mazur Franciszka
220. Mazur Stanisław
221. Mazur Stefan
222. Mazur Waleria
223. Mendelski Adam

- 224. Mendelska Helena
- 225. Mendelska Janina
- 226. Mendelska Krystyna
- 227. Mendelski Franciszek
- 228. Mendelska Józefa
- 229. Mendelski Bronisław
- 230. Mendelska Helena
- 231. Mendelski Karol
- 232. Mendelski Władysław
- 233. Mendelski Józef
- 234. Mendelska Adela
- 235. Mendelska Agnieszka
- 236. Mendelska Maria
- 237. Mendelski Leon
- 238. Mendelski Michał
- 239. Mendelski Wojciech
- 240. Mendelska Czesława
- 241. Mendelski Stanisław, lat 41
- 242. Michalewska Józefa
- 243. Michalewski imię nieznane, noworodek
rozdeptany w kościele przez bandytę.
- 244. Michalewska Wiktoria
- 245. Michalewska Franciszka
- 246. Michalewski Antoni
- 247. Michalewska Helena
- 248. Michalewska Karolina
- 249. Michalewski Michał
- 250. Michalewska Maria
- 251. Michalewski Marian
- 252. Michalewski Tadeusz
- 253. Michałowska Regina
- 254. Michałowski Ryszard
- 255. Morawski Wojciech

256. Morawski Michał, lat ok. 30
257. Morawski Teodor, lat 50
258. Morawski Józef, lat 17
259. Morawski Michał, lat 17
260. Morawski Władysław, lat 15
261. Muzyczak Franciszek
262. Muzyczak Władysław
263. NN kobieta
264. NN kobieta
265. NN Tekla
266. Niedźwiecki imię nie znane
267. Niedźwiecka imię nie znane, żona
268. Niedźwiecki imię nie znane, dziecko
269. Niedźwiecki imię nie znane, dziecko
270. Niedźwiecki imię nie znane, dziecko
271. Niedźwiecki imię nie znane, dziecko
272. Orłowski Czesław
273. Orłowska Helena
274. Orłowski Jan
275. Orłowski Stanisław
276. Orłowski Stanisław
277. Orłowski Wincenty
278. Orłowska Józefa
279. Orłowski Jan
280. Orłowska Paulina
281. Orłowski imię nie znane
282. Orłowska Wanda
283. Orłowski imię nie znane
284. Orłowski imię nie znane
285. Orłowska Franciszka
286. Orłowska Olga
287. Orłowski imię nie znane, dziecko
288. Podgórska imię nie znane

289. Podgórska imię nie znane
290. Podgórska imię nie znane
291. Podgórska imię nie znane
292. Radomska Michalina
293. Radomski Józef
294. Relich Józefa, lat 17
295. Relich Stefania
296. Relich Józefa
297. Relich Mieczysława
298. Rysicki Bronisław
299. Rysicka Maria
300. Rysicka imię nie znane, lat 10
301. Rysicka Agnieszka
302. Rysicki Jan
303. Rysicka Franciszka
304. Rysicki Kazimierz
305. Rysicka Stefania
306. Rysicki Antoni
307. Sierociuk Maria
308. Sierociuk Jan
309. Sierociuk Franciszka
310. Sierociuk Waleria
311. Sierociuk Augustyna
312. Sierociuk Agnieszka
313. Sierociuk Antonina
314. Sierzantow imię nie znane, partyzant sowiecki
315. Skibicka Maria
316. Skibicka Joanna
317. Skibicki Józef
318. Skibicka Maria
319. Skibicki Kazimierz
320. Skibicki Wojciech
321. Skibicki Franciszek

- 322. Skibicka Niusia
- 323. Skibicka Sabina
- 324. Skibicka Adolfina
- 325. Skowroński Stefan, lat 38
- 326. Skowrońska Aniela, lat 35
- 327. Skowrońska Maria, lat 17
- 328. Skowroński Piotr, lat 15
- 329. Skowroński Stanisław, lat 9
- 330. Skowroński Czesław, lat 3
- 331. Sobolewska Anna, lat 20
- 332. Sołtys Sabina
- 333. Sołtys Rozalia
- 334. Sołtys Aniela
- 335. Sołtys Helena
- 336. Sołtys Sabina
- 337. Sowińska Sabina
- 338. Sowiński Kazimierz
- 339. Stadler Sydonia
- 340. Strycharczuk Kazimierz
- 341. Strycharczuk Józefa
- 342. Strycharczuk Teodor
- 343. Strycharczuk Franciszka
- 344. Szatkowski Wojciech
- 345. Szatkowska Zofia
- 346. Szatkowska M.
- 347. Szmigielski Wojciech
- 348. Szmigielska Maria
- 349. Szmigielski Jan
- 350. Szmigielska Alicja
- 351. Szmigielska Waleria
- 352. Trojanowski imię nie znane
- 353. Trojanowska imię nie znane
- 354. Trojanowski imię nie znane, dziecko

- 355. Trojanowski imię nie znane, dziecko
- 356. Tymrykiewicz Józef, lat 40
- 357. Tymrykiewicz Janina, lat 36
- 358. Tymrykiewicz Franciszek, lat 12
- 359. Walczak Julian
- 360. Wesołowski Mikołaj
- 361. Węgrzynowicz Leon
- 362. Węgrzynowicz Mikołaj
- 363. Wierzbicki Wojciech
- 364. Wierzbicka Sabina
- 365. Wierzbicki Bolesław
- 366. Wierzbicka Anna
- 367. Wierzbicka Helena, lat 23
- 368. Wierzbicka imię nie znane, lat 2
- 369. Wierzbicka imię nie znane, roczne dziecko
- 370. Winiewicz imię nie znane
- 371. Wojciechowski Kazimierz, ps. „Satyr”,
dca oddz. AK
- 372. Wojciechowska Riwa
- 373. NN córka Riwy
- 374. Zagorodny Maria
- 375. Zagorodny Bronisław
- 376. Zwarycz Wojciech, lat 37
- 377. Zwarycz Michał lat 9
- 378. Zwarycz Józefa, lat 32
- 379. Zwarycz Michał, lat 9
- 380. Zwarycz Władysław, lat 7
- 381. Zwarycz Stanisław
- 382. Zwarycz Tadeusz
- 383. Zwarycz Józef
- 384. Zwarycz Alfonsyna
- 385. Zwarycz Karol
- 386. Zwarycz Rozalia

- 387. Zwarycz Józef
- 388. Zwarycz Kazimierz
- 389. Żuczkowski Władysław
- 390. Żuczkowska Jadwiga
- 391. Żuczkowski Franciszek
- 392. Żuczkowska Ludwika
- 393. Żuczkowski Zygmunt
- 394. Żuczkowska Aniela
- 395. Żuczkowski Józef
- 396. Żuczkowska Michalina
- 397. Żuczkowski Michał
- 398. Żuczkowska Maria
- 399. Żuczkowski Jan
- 400. Żukowska Klementyna
- 401. Żukowski imię nie znane, dziecko
- 402. Żukowski imię nie znane, dziecko
- 403. Sierżantów partyzant radziecki

Tak mówi poeta:

*A dla ludzi tych,
Dla nich nie pisze się nekrologów,
Dla nich jest tylko pamięć i łzy,
Albo żebracze modlitwy matek,
Albo zdziwione spojrzenia dzieci,
Z nocy na noc rosnąca powoli cisza
Przedawnionego nieszczęścia,
Która zagłusza krzyk i wołania niepocieszonych,
Nawet jęk.
Zbrodnio niezmierna,
Ziemio wierna;
Requiem aeternam.*

Ten wzruszający wiersz przeczytałem kiedyś, próbowałem go zapamiętać. Przepraszam że nie podaję nazwiska autora, nie pamiętam. Jeśli cokolwiek pomyliłem to autora najserdeczniej za to przepraszam.

ZAŁĄCZNIK 3

Edward Gross urodzony w Wołochach, wsi odległej od Huciska Brodzkiego o 2 km, był świadkiem zbrodni dokonanej przez bandy UPA w Hucisku Brodzkim 13 i 20 lutego 1944 r. Chodził do tej samej szkoły co autor niniejszego opowiadania, tylko w innych latach, i pozwolił mu na opublikowanie poniższego rapsodu wraz z objaśnieniami.

Edward Gross

Zagłada Huciska Brodzkiego Rapsod żałobny

*Tę ziemię łupili przez wiele stuleci
Moskale, Tatarzy, Kozacy i Turcy.
Chcieli ją nam zabrać w dwudziestym Sowieci,
Rozbici nad Wisłą z przyzwolenia Stwórcy.*

*Po łupy Tatarzyn odwiedzał te strony,
Najeżdżając kraj nasz swym utartym szlakiem.
Kozak kraj pustoszył, gdyż pragnął korony,
Dziś cię zarżnie Rusin, bo jesteś Polakiem.*

*Podpisał Bandera cyrograf z szatanem:
„Ja swoich rodaków do cna odczłowieczę,
Ty zaś mi pozwolisz być tej ziemi panem
I mieć nad ziomkami absolutną pieczę.*

*Romanowi dałem generalską gażę,
Bo on ciemnych chłopów do zbrodni przyucza.
Muszą być gotowi, gdy wkrótce rozkażę
Wyrżnąć wszystkich Lachów od Sanu do Zbrucza”.*

*Bo wiedział, że plan ten nigdy się nie ziści,
Czyli że Polaków nigdy nie zwycięży,
Jeśli nie rozbudzi w kmiotach nienawiści.
I tu mu się przydał cały zastęp księży.*

*Ci wpierw na Wołyniu, później na Podolu
Wzywali swych wiernych, często w imię Boże,
Że już czas oczyścić pszenicę z kłólu,
Święcili siekiery i rzeźnicie noże.*

*Niebawem z Wołynia wieść dotarła sroga,
Że tam Ukraińcy Polaków mordują,
Że uznali wszystkich za swojego wroga,
Ich chałupy palą, a mienie rabują.*

*Prawdziwość tych wieści potwierdzają łuny,
Które okraszały wołyński firmament.
Były to już pewne tych nieszczęść zwiastuny.
Budziły niepokój, wprowadzały zamęt.*

*Tu się wszyscy bali kurenia z Czernicy,
Gdyż było wiadomo, że wielu „czużyńców”,
A zwłaszcza Polaków w tamtej okolicy,
Straciło już życie z rąk tych barbarzyńców.*

*Służąc szatanowi wyrzekli się Boga,
Kpiąc z nakazów wiary o zbawieniu duszy.
Różną im nakazano Lachów jako wroga
I oni w tej zbrodni utkwili po uszy.*

*W Wołochach Żeglińskim „zdzęli rękawiczki”,
Do Kadłubisk poszli rozciąć brzuch kobiecie,
By potem na stopniach przydrożnej kapliczki
W holdzie szatanowi położyć jej dziecię.*

*Masłowskich z Czernicy nożami zadźgali,
Piotra Kochańskiego przybili do belki,
Sikorów z Nakwaszy piłą ćwiartowali,
W Ikwie utopili Zbigniewa z Grobelki.*

*Chłopiec brnął za ojcem po głębokim śniegu,
Lecz wnet go złapała męcząca zadyszka,
Ojciec go ponaglał do szybszego biegu,
Jego nie złapali, lecz dopadli Zbyszka.*

*Złapany się zdobył na inny wysilek –
Jego krzyk słyszano w odległej Ponikwie.
Złapał go za nogi bandyta osilek
I zanurzył głowę w lodowatej Ikwie.*

*Wkrótce każdy handzior, co działał w terenie,
Oraz każda mała uzbrojona grupa,
Tworzyli już sotnie i śmierci kurenie,
By palić wsie polskie pod przewodem UPA.*

*Kureń był w Czernicy niedaleko Brodów,
Ale tuż za lasem, a więc całkiem blisko,
Leżał założony przez ciąg polskich rodów
Szlachecki zaścianek – wieś Brodzkie Hucisko.*

*Orzekli wodzowie kurenia z Czernicy:
Tę wieś trzeba zniszczyć! Lecz sami się bali,
Ściągnęli więc łotrów z całej okolicy,
I pewnej niedzieli zaatakowali.*

*Franciszek Pinkiewicz poznał ich zamiary.
Zniweczyć je da się tylko naszym męstwem,
Atak odeprzemy, choć będą ofiary,
I to będzie można nazywać zwycięstwem.*

*Zbrodnia szła z Wołynia potężną lawiną,
I przed bandytami nie było ucieczki.
Ich plan przewidywał, że Polacy zginą,
Dlatego ich różnili jak słabe owieczki.*

*Łaknęli uznania, nęciły ich łupy,
Dążyli do władzy, młodojeckiej sławy.
Gdzie się pojawili, zostawiali trupy.
Dowolny był powód okrutnej zabawy.*

*Jednego zabili, bo miał dobre buty,
Inny padł ofiarą z powodu kozucha,
Kolejny bandyta z sumienia wyzuty
Wyciął swych sąsiadów dla sytości brzucha.*

*Bo wiedział, że Polak ma w spichlerzu zboże,
Kusiły ubrania, nawet pościel nowa,
Para ładnych koni i krowy w oborze –
A kto wie, co jeszcze w swoim domu chowa.*

*Zamęczyć poczciwca to nawet nie sztuka,
Gdy ten miast się bronić, o litość go błagał.
I by go przekonać, argumentów szuka:
Że gdy był w potrzebie chętnie mu pomagał.*

*Jednakże Pinkiewicz nie znalazł dnia, godziny
Przyszłego napadu, toteż pełen troski
Ruszył do Litowisk po polskie rodziny,
Które chciały uciec z banderowskiej wioski.*

*Obroną w Hucisku nikt więc nie kierował,
Lecz kto miał karabin, ten walczył do końca.
Bezbronny uciekał lub w lochu się chował,
Trudno więc powiedzieć, że to był obrońca.*

*Wróciwszy z Litowisk, wnet wyciągnął wnioski,
Choć wieś stała w ogniu i byli zabici,
Przypuścił kontratak i odbił część wioski,
Którą nieco wcześniej zajęli bandyci.*

*Jego podkomendni z nim samym na czele
Walczyli jak Bartosz pod Racławicami.
Odpierali szturmy, a było ich wiele,
Choć na tych pozycjach byli tylko sami.*

*Wieś spowiły dymy, strzelały płomienie,
Przypalane krowy zrywały łańcuchy,
A ogień pożerał całe ludzkie mienie.
W ruch puszczono noże, widły i obuchy.*

*Tą „bronią” władali mordercy – rizinii.
To oni krzyczeli: „Żywych dla nas łapcie!”
By potem na oczach bezsilnej babuni
Poćwiartować dzieci, a na końcu babcię.*

*By ratować życie swoje i córeczki
Janina Żeglińska – wcale nie bez racji –
Podjęła nieszczęsna ryzyko ucieczki,
Bo co mogła zrobić w takiej sytuacji?*

*Pomysł by się udał – była przecież młoda –
Gdyby nie świszczące kule koło ucha.
Trafiona padła jak podcięta kłoda,
Wykrzyknęła „dziecko!” i oddała ducha.*

*Tuż za nią uciekał biegiem Tadek Mucha,
Chwycił dziecko w biegu i je uratował.
Potem mu nadano szczytne miano zucha,
Zaś ojciec maleństwa gorąco dziękował.*

*Tomasz Michalewski od samego rana
Zapewniał, że z Jankiem wszystkimu podola,
Bo chciał, żeby Anna odświętnie ubrana
Mogła pójść z innymi w tym dniu do kościoła.*

*Wiedział, że nad wioską osobiście czuwa
Oficer Franek Pinkiewicz oraz jego „chłopcy”.
Grupa Wołyniaków też butów nie zzuwa,
Choć nie mają rodzin i są tutaj obcy.*

*Ci w razie napadu nie ustąpią pola,
Mszcząc się za rodziny, spalone zagrody.
Walczą nieulekłe na ziemi Podola,
Chcą ratować innych, nie pragną nagrody.*

*Nie myśląc o bandzie, podniósł dziecko z łóżka
I żeby je uśpić, włożył do kołyski.
Odwarzajemnił czuły uśmiech Tadeuszka,
Gdy huknęły strzały, powodując błyski.*

*Bandyci! – wykrzyknął i w mig włożył kurtkę.
Dziecko w pled owinął, zawiązując rogi.
Wyskoczywszy na dwór, w biegu kopnął furtkę
I jak sarna zniknął za zakrętem drogi.*

*Bandyci strzelali, lecz Tomasz nie wiedział
Kto był dla nich celem – on czy inni ludzie.
Między nim a nimi pomniejszał się przedział,
A kroki bandytów dudniły po grudzie.*

*Wiedział, że na pewno nie ujdzie pogoni,
Że zginie od kuli lub gorzej – od noża.
Tadzia też zabija, gdy go nie ochroni
Przed tymi zbójami dzisiaj ręka Boża.*

*I runął na skarpe, markując śmierć własną,
Ale Tadeuszka nie wypuścił z ręki.
Słyszał jak do innych jakiś bandzior wrzasnął:
„Od mojej padł kuli i nie zaznał męki”.*

*Fortel Michalewskiego aż trzy grupy zmylił.
On bandytów widział, słyszał ich rozmowę,
Jeden z nich dosłyszał, że chłopczyk zakwilił,
Przystanął i strzałem roztrzaskał mu głowę.*

*Pocisk, który dziecku pogruchotał kości,
Był klasy „dum-dum” (miał na płaszczu znamię),
Pozbawił go życia, ojca przytomności,
Ponieważ rozszarpał jego lewe ramię.*

*Duszę Tadeuszka bez najmniejszej zwłoki
Anioły uniosły do nieba na wieki.
Tę drugą Bóg wrócił do ziemskiej powłoki
I kazał jej śledzić zbrodnię spod powieki.*

*Tak więc Tomasz widział płonące chałupy,
Rozbiegłe zwierzęta, rizinów z „orężem”,
Rabujących mienie, bezczeszczących trupy,
Lubo się pastwiących nad złapanym mężem.*

*Wśród bandytów widział dużo znanych twarzy
Z Ponikwy, z Litowisk, Żarkowa, Czernicy –
Samych nikczemników, nie zaś gospodarzy
Cieszących się mirem w tamtej okolicy.*

*Bandyci biegali po wiosce jak z pieprzem,
Wpadali do piwnic, stodół, każdej nory,
Lub się uganiali za opasłym wieprzem,
Który cudem uszedł z płonącej obory.*

*A od wrzasku we wsi aż bolały uszy,
Padwały komendy wydawane krzykiem,
Wrzask robiło ptactwo osiadłe na gruszy,
Przypiekane krowy skarżyły się rykiem.*

*Ból swój wyrażały rżeniem również konie,
Śmierć swoją czujące pod płonącym dachem.
Chromy starzec złożył do modlitwy dłonie,
Bo nie mógł uciekać ogarnięty strachem.*

*Nie miał zresztą na to żadnych możliwości –
Był człowiekiem starym, z przytępionym słuchem.
Nie myślał, że gest ten bandytę rozżłości
I że z całej siły zdzieli go obuchem.*

*Wściekły cios bandyty rozlupał mu ciemię,
I właściciel domu oddał ducha Bogu.
Przelaną krwią zrosił swą rodzinną ziemię,
Czym również podkreślił świętość tego progu.*

*A co z małym Józiem, niespełna trzylatkiem?
Kiedy dziadek ręce złożył do pacierza,
On drżący ze strachu schował się za dziadkiem,
A gdy dziadek upadł, uciekł do alkierza.*

*Lecz wściekły bandyta chwycił go za włosy,
Wyciągnął zza szafy, rzucił o podłogę.
Józio w swej obronie krzyczał w niebogłoso,
I wtedy bandyta przydepnął mu nogę.*

*Drugą wzięwszy w łapy, szarpał nią do góry
Niczym dzika bestia, chcąc swoją ofiarę
Rozerwać na dwoje, jak sęp padłe kury.
Chodziło mu o to, by cierpieć nad miarę.*

*Wiedział Michalewski, że wraz z krwi upływem
Płacząc mu się myśli i ciało grabieje.
Stąd wiara w moc Bożą była mu motywem
I w cichej modlitwie budziła nadzieje.*

*Obrona wciąż trwała, wieś nie jest zdobyta –
Słysząc odgłos strzałów z drugiego wsi końca.
„Kto do kogo strzela – do naszych bandyta,
Czy może bandytę wziął na cel obrońca?”*

*Gdzieś tam jest mój Janek – chroń go Panie Boże,
Chroń wszystkich obrońców, mego brata Michała.
Ja pewnie umieram, lecz proszę w pokorze
Niechaj szczerze UPA, zwłaszcza jej watażka.*

*On stworzył tę zgrają i na wzór Kaina,
Łamiąc Twe odwieczne święte przykazanie,
Zabija Polaka – brata Słowianina.
Temu Kainowi klęskę ześlij Panie.*

*Dziś większość mieszkańców poszła do kościoła,
Wróg ma znacznie więcej ludzi i oręża.
Ta garstka obrońców oprzeć się nie zdoła,
Już widać, że Kain Polaków zwycięża.*

*Zobaczył, jak dzielnie bronił stanowiska
Jeden z Wołyniaków, choć był tutaj obcy.
To była obrona Brodzkiego Huciska,
A brali zeń przykład nawet nasi chłopcy.*

*Dzięki tej odwadze i celnemu oku
Znieśli z pola walki banderowców kilku.
Lecz jeden z nich zaszedł bohatera z boku
I tu się sprawdziło przysłowie o wilku.*

*Choć sam wilkiem nie był, bo walczył w obronie
Tej ziemi, Polaków i swego honoru.
Wolał zginąć w walce w ostatniej odsłonie,
Niż oddać bandytom wioskę bez oporu.*

*Z tak dobrej osłony wielu tu korzysta,
Oto jeden z Schützów uchodzi pogoni,
Za nim gna z siekierą rusiński faszysta,
Pewnie zwykły rizun, bo bez palnej broni.*

*Tam między domami czai się za rogiem
Stanisław Bojarski, za nim widać Sznuka,
Który tak się skrada i kryje przed wrogiem.
Pewnie desperacko wyjścia z matni szuka.*

*A tamten przed chwilą zarąbał Suczawę.
To jakiś sadysta albo pomylenieć,
Pragnący zbrodniami zdobyć sobie sławę,
Aprobatę zbirów i laurowy wieniec.*

*„Och, gdybym automat miał do dyspozycji –
Myśl Michalewskiemu chodziła po głowie –
No i sprawną rękę, to z mojej pozycji
Takich okrutników wystrzelałbym mrowie!”*

*To byłaby zemsta za śmierć mych rodaków,
Za strzaskaną rękę i za Tadeuszka.
Więś odbudujemy jak przodkowie Kraków... ”
Majaki rannego czy pusta pogroźka?*

*Zuchwałość rizunów niepomrotnie wzrosła,
Kiedy przestał strzelać Wołyniak zza węgła,
Wszak byli szkoleni do tego rzemiosła
I do takiej roli UPA ich zaprzęгла.*

*Dali się oszukać albo z własnej woli
Wzięli nóż do ręki, aby zostać katem
Polskich matek, dzieci lub w oprawcy roli
Pastwić się świadomie nad swym polskim bratem.*

*Z wściekłością lub często z szyderstwem na twarzy,
Kat kazał ofierze żegnać się z dorobkiem.
I palił budynki świętych gospodarzy,
Wszak byli „panami”, on zawsze parobkiem.*

*Wskutek podniecenia oraz krwi utraty
Ranny Michalewski czuł, że dokądś leci.
Już nie widział ludzi ani żadnej chaty,
Nie słyszał rizunów ani krzyku dzieci.*

*„Chryste zabroń duszy uciekać od ciała,
Gdy już się to stało, to nakaż jej Panie
Wrócić nawet wtedy, gdyby już nie chciała.
Wierzę w Twoje moce, wierzę w zmartwychwstanie ”.*

*Poszukując dzieci w mieszkaniach i lochach
Rizuni biegali od domu do domu.
Nawet nie myśleli, że gdzieś tam w Wołochach
Ojcowie tych dzieci życzą im pogromu.*

*Niektóre kobiety, aż mdlały z wrażenia
Na wieść o napadzie na Brodzkie Hucisko.
Mężczyźni też byli pełni przerażenia,
Bo ich wieść to teraz rozległe ognisko.*

*Jęli się naradzać, jak dotrzeć z pomocą
Napadniętym braciom, jak ratować matki,
Staruszków i ludzi złożonych niemocą –
Ich sam strach zabije, również nasze dziatki.*

*„Chcesz się przeciwstawić gołymi rękami
Gotowej na wszystko, rozjuszonej sforze? –
Spytał Tadzio Kozaczewski. – Chcecie zginać sami?
Wezwę pomoc Niemców stojących we dworze”.*

*Przekonywał dalej mieszkańców Huciska:
„Inne możliwości nie wchodzą w rachubę.
Dymy świadczą o tym, że wróg wciąż naciska,
Wkrótce może przynieść mieszkańcom wsi zgubę”.*

*Tak bez większych wahań i większego sporu
Zaakceptowano najlepszy z wariantów:
Delegacja poszła do Bocheńskich dworu,
Mówić o napadzie ruskich partyzantów.*

*„Rozbili swój tabor na naszym Zbarażu,
Czekając, aż wioska spełni ich żądania:
Dostarczy im koni i dla nich furazę,
Dla ludzi słoniny, chleba i ubrania”.*

*Kapitan zdziwiony, że oto w tej głuszy
Nieznany mu Polak mówi jego mową.
Dlatego tym chętniej nadstawił swe uszy,
Gotów wziąć za prawdę bajeczkę Tadkową.*

*Kozaczewski ciągnął: „Wioska już oddała
Cały swój kontyngent dla niemieckiej armii.
Ruskim odmówiła, wszak to wioska mała
I aż tylu ludzi naraz nie wykarmi.*

*Ruscy bez cywilów obejść się nie mogą,
Toteż się starają trzymać ludzi w strachu.
Wieś spalą, by była dla innych przestrogą,
Pewnie nie pominą ni jednego dachu”.*

*Jeszcze pan Tadeusz nie wyszedł z palacu,
Bo Prusak się pysznił filozofem Kantem,
Uzbrojone wojsko stało już na placu,
By ruszyć do walki z „ruskim partyzantem”.*

*Po chwili skulony za czołgu pancerzem,
Prowadził to wojsko na Brodzkie Hucisko.
Nie czuł się co prawda pancernym rycerzem,
Lecz miana „wybawcy” był wszak bardzo blisko.*

*Bo huknęły działa i banda w popłochu
Pierzchła niczym zajęc przed myśliwską sforą –
Zbrojni banderowcy na czele motłochu,
Który dla tej zgrai jest zawsze podporą.*

*Na zbieranie rannych nie mieli już czasu,
Nikt się nie spodziewał takiego pogromu.
Kto tę odsiecz przeżył, uciekał do lasu,
By się jakoś dostać do własnego domu.*

*Huk armaty zbudził Tomasza z omdlenia,
Który ciągle leżał na zmarzniętej skarpie.
Chłop nie tracił wiary ni nadziei cienia,
Że ból przewycięży, choć mu rękę szarpie.*

*Słyszał, że na nowo rozgorzała bitwa,
Wróciła mu wiara w jego braci męstwo.
Zapanował popłoch, pospieszna gonitwa,
Pewnie Bóg odebrał Kainom zwycięstwo.*

*Wróciwszy z kościoła, ludzie się rozbiegli
Po całym Hucisku i swoich szukali.
Zliczono czterdziestu tych, którzy polegli.
Nikt się nie spodziewał klęski w takiej skali.*

*Anna Michalewska zasląbla z rozpaczey:
Tadeuszek martwy, mąż walczy o życie,
Gdzie Janek, gdzie tato? Niech Bóg mi wybaczy –
Nie chroniłam swego domu należycie.*

*Tomka trzeba szybko zawieść do szpitala.
Bo on nie przeżyje bez takiej pomocy.
Każdy dziś nad własną stratą się użala
I każdy się boi nadchodzącej nocy.*

*Banda może wrócić, by się mścić za straty,
Które im zadali Niemcy oraz nasi.
Boże, przyślij pomoc Michała lub taty,
Bo mi nie pomoże dzisiaj żaden obcy.*

*Daj znać Michałowi, myślę, że on żyje,
Słyszałam odgłosy walki na Granicy –
Strzelały peemy, chociaż nie wiem czyje.
I nie było dymów w tamtej okolicy.*

*Michał wpadł saniami jak na zawołanie.
Z nim wrócił do domu Janek przerażony.
Szybko miękkim sianem wymościł sanie,
Włożyli rannego, a ten rzekł do żony:*

*„Lepiej będzie dla was, gdy mnie zostawicie,
Ludzie opuszczają już Brodzkie Hucisko,
Wy też uciekajcie, ratujcie swe życie.
Na razie do Wołoch, bo to nawet blisko.*

*Każdy ruch to dla mnie okropne katusze,
Straciłem krwi tyle, że mąci się w głowie.
A jeśli mam umrzeć, to czy cierpieć muszę,
Gdzie jest w tym logika, kto z was mi odpowie?”*

*„Koń pójdzie powoli jak starzec po schodach –
Tak Michał cierpliwie tłumaczył Tomkowi –
Noc spędzisz w Wołochach, a już rano w Brodach
Rękę ci opatrzą chirurdzy wojskowi”.*

*Wjechali do Wołoch, zerkając ku słońcu,
Które swoją barwą mróz zapowiadało.
Na polskich podwórkach – na tym wioski końcu –
Jak na złość po kilka furmanek już stało.*

*Będzie tutaj trudno o jakiś przytułek,
Choć Rusin tu korny jak bezbronna owca.
Ale nikt nie wejdzie na żaden zaułek,
Bo tam można spotkać nawet banderowca.*

*Pod swój dach ich przyjął Stelmaszuk Kiryło,
Posłaniem im była słoma na polepie.
Pretensji nie mieli, bo widać to było,
Że ten dobry Rusin wielką biedę klepie.*

*W Brodach było słychać huk armat daleki,
Jeździły karetki, wojsko, ambulanse.
Kto tu zechce słuchać cywila kaleki?
Tu na wyleczenie są niewielkie szanse.*

*A tymczasem lekarz bez chwili wahania,
Hipokratesowi będąc wierny szczerze,
Kazał ściągnąć z Tomka te brudne ubrania
I za operację wkrótce się zabierze.*

*Ten zastrzyk – powiedział – ból jemu uśmierzy,
Potem mu poskładam połamane kości.
Dzisiaj mi przywieźli trzech rannych żołnierzy,
Stąd ich zoperuję w pierwszej kolejności.*

*Lekarz dwie godziny Tomka rękę składał,
Ale nie usunął obcych ciał z ramienia.
Zapewnił, że ranny będzie ręką władał,
A to już wystarczy dla jego sumienia.*

*„Zrobiłem, co trzeba w takiej sytuacji –
Poskładałem kości, jednak pani ranny
Potrzebuje dalszej rehabilitacji” –
Rzekł, by rozwiać smutek zrozpaczonej Anny.*

*Anna sprowadziła krewnego z Warszawy,
Wiedząc, że nie dozna tu żadnej pomocy.
Ignacy Wąsowicz, człek możny i prawy,
Przyjechał do Brodów już następnej nocy.*

*Zrobił rozeznanie i wyciągnął wnioski:
„Tam już nie wróćcie. Żał mi serce ściska,
Że nikt nie obronił czysto polskiej wioski,
Nie ustrzegł przed UPA naszego Huciska.*

*Tu was poćwiartują – tego jestem pewny,
A ja takiej śmierci nie życzę nikomu.
Dlatego oświadczam, że jako wasz krewny
Wezmę was niezwłocznie do swojego domu”.*

*Trudno było ludziom opuszczać swe domy –
Trud wielu wyrzeczeń i wysiłku mistrza.
Bandytom wystarczył mały wiecheć słomy,
By je zmienić w gruzy i w dymiące zgliszcza.*

*Zbierali zabitych, zwozili na cmentarz
I tam ich grzebali bez udziału księdza.
Inni zaś spędzali swój żywy inwentarz,
Którego nie skradła Kainowa nędza.*

*Narażając życie jeździli też po to,
By opróżnić schowki z zapasów pszenicy,
Które dla nich były cenniejsze niż złoto,
A także kartofle z kopca lub piwnicy.*

*Rusini z okolic zapewne wiedzieli,
Że im taka gratka w życiu się nie zdarzy.
Stąd postanowili następnej niedzieli
Zagrabić majątek polskich gospodarzy:*

*Przeróżne maszyny, plugi i kieraty,
Szafy, łóżka, krzesła taborety, stoły,
A w końcu materiał z rozwalonej chaty,
Sieczkarnie, młocarnie, zawartość stodoły.*

*W niedzielę napadli znowu dużą siłą,
Mordując okrutnie dalszych siedem osób.
W tym jedną ofiarę pokroili pilą.
A przy takiej groźbie bywać tam nie sposób.*

*Dwudziesty lutego, rok czterdziesty czwarty
Dla ludzi z Huciska to pamiętna data,
Ostatni już zapis kronikarskiej karty:
W tym dniu wieś zginęła z rąk Kaina – brata.*

Objaśnienia autora rapsodu

Kozak kraj pustoszył, gdyż pragnął korony – mam na myśli Bohdana Chmielnickiego.

Podpisał Bandera cyrograf z szatanem – chodzi o Stepana Bandere. 14 marca 1923 roku Rada Ambasadorów przyznała Polsce na wschodzie ziemie aż po rzekę Zbrucz. Wówczas ukraińscy oficerowie, którzy przegrali walkę o niepodległość państwa ukraińskiego, utworzyli UWO (Ukraińską Wojskową Organizację), a później OUN (Organizację Ukraińskich Nacjonalistów). Organizacje te, nie godząc się z przegraną, postanowiły dalej walczyć, przede wszystkim drogą terroru. W 1932 roku Stepan Bandera został przywódcą, czyli prowidnykiem OUN na tzw. ziemie „zachodnioukraińskie”, i komendantem krajowym OUW. Organizował zabójstwa, zamachy na przedstawicieli państwa polskiego, napady na urzędy, np. poczty, posterunki policji itp. Jako współorganizator zamachu na ministra Pierackiego został skazany na karę śmierci, zamienioną na dożywotnie więzienie. We wrześniu 1939 roku wypuszczono go na wolność. W 1940 roku doszło w OUN do rozłamu. Powstały trzy odłamy. Bandera stanął na czele frakcji najbardziej radykalnej. Z czasem podporządkował sobie siłą pozostałe frakcje. Ci, którzy nie chcieli mu się podporządkować, zostali po prostu zabici. Banderowcy postanowili powołać do życia

bojówkę, czyli zbrojne ramię OUN. Bojowce tej nadano nazwę UPA (Ukraińska Powstańcza Armia). Jej zadaniem było „oczyszczenie ukraińskiej ziemi z czużyńców”, czyli o fizyczną likwidację Polaków Żydów, Ormian, Rosjan i innych żyjących od wieków na tych ziemiach.

Romanowi dałem generalską gażę – OUN powierzyła Romanowi Szuchewyczowi stworzenie UPA i nadała mu stopień generała (wcześniej był pułkownikiem Wojska Polskiego).

Cały zastęp księży – wielu księży greckokatolickich (uniccy) z ochotą propagowało z ambon idee OUN-UPA i zachęcało wiernych do dokonywania zbrodni na „czużyńcach”, przede wszystkim na Polakach i Żydach. W czasie służby bożej (mszy) święcili narzędzia zbrodni: noże, siekiery itp., mówiąc: „Żeby żniwa były obfite” oraz „Nadszedł czas pielenia pszenicy z kąkolą”.

Tu się wszyscy bali kurenia z Czernicy – Ugrupowanie UPA powstało między innymi w Czernicy. Była to duża wieś, którą w omawianym czasie zamieszkiwali przeważnie Rusini już zaczynający nazywać siebie Ukraińcami. Polaków było tam niewielu. Właśnie to ugrupowanie, wielkości kurenia (kompanii), 13 lutego 1944 roku napadło na Hucisko Brodzkie. Oczywiście jak zawsze towarzyszyli im rizuni. W totalnej zagładzie wsi w tym dniu przeszkodziła im samoobrona, a w głównej mierze Niemcy, dlatego banderowcy z Czernicy powtórzyli napad w następną niedzielę. W Hucisku Brodzkim zamordowali 40 osób, a w całym powiecie brodzkim z rąk terrorystów i rizunów zginęły 3142 osoby.

W Wołochach Żeglińskim „zdjęli rękawiczki” – Zdejmowanie rękawiczek polegało na przecinaniu skóry na przedramieniu i ściąganiu jej aż na palce. Widziałem to na własne oczy w rodzinnych Wołochach. W tym wypadku ofiarami byli Leon i Ignacy Żeglińscy oraz Dymitr Benedyk, zięć Ignacego. Ten ostatni był Ukraińcem, który ożenił się z Polką.

Oficer Pinkiewicz oraz jego „chłopcy” – Franciszek Pinkiewicz urodził się w Hucisku Brodzkim. W roku 1938 ukończył szkołę oficerską, a rok później brał udział w kampanii wrześniowej. W czasie walk z Niemcami gdzieś w okolicach Sieradza został ranny i dostał się do szpitala w Łodzi. Wkrótce ze szpitala uciekł i ukrywał się we Lwowie, gdzie prawdopodobnie wstąpił do AK. Lwowskie AK wydało mu polecenie, aby wrócił do Huciska Brodzkiego i zorganizował tam placówkę AK. W tym czasie istniały już tam zawiązki samoobrony, ponieważ pojawił się problem banderowców. Fr. Pinkiewicz nie tylko zorganizował placówkę AK, której został komendantem, ale wziął pod swoją komendę „chłopców”, którzy do AK nie należeli, ale szkolili się do obrony wsi przed banderowcami. W czasie napadu na Hucisko Brodzkie Pinkiewicz był poza wsią. Napadu się nie spodziewał, ponieważ dotychczas banderowcy napadali tylko w nocy.

Tę „bronią” władali mordercy-rizuni – Rizun to ten, który rżnie, czyli zabija nożem, siekierą, kosą a nawet sierpem. Banderowcom – członkom UPA- w czasie napadu zawsze towarzyszyła banda takich rizunów.

Grupa Wołyniaków też butów nie zzuwa –

Na sąsiadującym z Podolem Wołyniu, przed II-gą wojną światową największym terytorialnie województwem II R.P. było woj. Wołyńskie. Niemcy, którzy byli przecież okupantami na terytorium Polski, powołali do życia ukraińską policję pomocniczą, która współpracowała z banderowcami i często wykonywała zlecone przez nich zadania. Komendantem głównym tej policji był Roman Szuchewycz /przedtem oficer Wojska Polskiego narodowości ukraińskiej/. Na polecenie Bandery, Szuchewycz rozkazał podległej jemu czterotysięcznej armii dobrze uzbrojonych policjantów pójść do lasu, wprost do szeregów UPA. Na jej miejsce w celu utrzymania porządku na okupowanym terenie Niemcy utworzyli nową policję, werbując do niej Polaków. Wstępowali do niej ci, którym Ukraińcy wymordowali rodziny i zniszczyli domostwa i dobytek. Dzięki temu, że otrzymali od Niemców broń, sami czuli się bezpieczniejsi i mogli występować w obronie innych Polaków, których UPA dotychczas nie zdążyła wymordować. Ale w miarę przybliżania się frontu ci policjanci porzucali służbę u okupanta i z innymi ocalałymi samotnymi Polakami w większości przeszli na Podole. Przyjęły ich do siebie Hucisko Brodzkie, Majdan, Huta Pieniacka, miasto Brody i inne. My nazywaliśmy ich po prostu Wołyniakami.

Z Ponikwy, z Litowisk, Żarkowa, Czernicy – nazwy wsi sąsiadujących z Huciskiem Brodzkim, w których przeważała ludność rusińska, nazywana teraz Ukraińcami.

...*Spytał Kozaczewski...* – We dworze hrabiów Bocheńskich w Ponikwie stacjonowała w tym czasie niemiecka jednostka wojskowa. Jeden z mieszkańców Wołoch, Tadeusz Kozaczewski (AK-owiec), który w czasie nabożeństw grał na organach w kościele, wpadł na pomysł, by do odpędzenia banderowców wykorzystać właśnie tę jednostkę. Poinformował dowódcę Niemców, że na Hucisko Brodzkie napadli rosyjscy partyzanci. Oczywiście była to nieprawda, ale dzięki temu banderowcy nie zdążyli wymordować dzieci i wielu ludzi, którzy ukrywali się w różnych schowkach i w pobliskim lesie. Niestety, na drugi dzień gestapo ustaliło, kim byli naprawdę sprawcy napadu, i za wprowadzenie Niemców w błąd Kozaczewski został aresztowany, a dowódca jednostki, który ruszył z odsieczą Polakom, wysłany na front.

Słyszałem odgłosy walki na Granicy – „Granica” to część Huciska Brodzkiego, podobnie jak „Zbaraż” – część wioski u podnóża góry Zbaraż.

Boże, przyślij pomoc Michała lub taty – Michał Michalewski starszy brat Tomasza, brał udział razem z Fr. Pinkiewiczem w wyprawie do Litowisk po polskie rodziny. Mieszkał koło cmentarza, ta część Huciska nie została przez banderowców zdobyta. Uniego w czasie napadu przeżywał starszy syn Tomasza, Janek – lat 6 – dzięki temu przeżył napad. Kilka dni po napadzie Michał Michalewski wrócił na Hucisko po mąkę na chleb i zaginął bez śladu. Jeden z życzliwych nam Ukraińców przed naszym wyjazdem na Zachód powiedział w sekrecie, że kożuch Michała nosi Pietryk w ukraińskiej wsi Hołubica. Po latach ktoś

opowiadał, że banderowcy z Hołubicy dopadli Michała o zmierzchu na leśnej drodze, kazali jemu wykopać dół, następnie rozebrali go i zabili. Najstarszy syn Michała Roman oraz bratanek Jan po latach byli w Hołubicy chcieli poznać miejsce śmierci Ojca/Stryja. Niestety miejscowi byli zastraszeni nie podejmowali tych tematów. Jak mówili nasi ojcowie i dziadowie z Hołubicy wywodziło się sporo banderowców – była to w całości wieś ukraińska, bez żadnego domostwa polskiego lub żydowskiego.

Objaśnienia opracował autor rapsodu żałobnego Edward Gross.

Bibliografia

1. Edward Gross – „Tragedia Podola”, Wyd. „PoliKard” Warszawa 1995 rok.
2. Edward Gross – „Zbrodnie UPA”, Głogów, 1999 r.
3. Edward Gross – „Wojsko Polskie a Bandyci z UPA”, Wyd. Druk-Ar Głogów.
4. Edward Gross – „Kresowe Dzieje Podolskich Wsi”, Wyd. atla 2, Wrocław 2004 rok.
5. Aleksander Korman „Zbrodnie nie ukarane”, Wyd. Koło Lwowian, Londyn 1990 rok.
6. Aleksander Korman „Stosunek UPA Do Polaków Na Ziemiach Południowo – Wschodnich II Rzeczypospolitej”, Wyd. Nortom Wrocław.
7. Edward Prus „Atamania”, Wyd. Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa, 1988 rok.
8. Edward Prus „Rycerze Żelaznej ostrogi”, Wyd. „ATLA”, Wrocław, 2000 rok.
9. Edward Prus „Holokaust Po Banderowsku”, Wyd. „NORTOM”
10. Edward Prus „SS-Galizien”, Wyd. „NORTOM”, Wrocław.
11. Edward Prus „Legenda Kresów”, Wyd. „NORTOM”, Wrocław.
12. Lucyna Kulińska „Dzieci Kresów”, Wyd. Oficyna Wydawnicza ECHO, Warszawa, 2003 rok.
13. Władysław Bąkowski – „Zagłada Huty Pieniackiej”. Autor urodzony w Hucie Pieniackiej, sąsiad rodziny Kierepków. Wydawnictwo Biblioteki Złoczowskiej, Kraków, 2001 rok

14. Ks. J. Anczarski – „Kronikarskie Zapisy z lat cierpień i grozy”, Wyd. Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, 1996 r.
15. Wydawnictwa „Na Rubieży”.
16. Władysław Siemiaszko i Ewa Siemiaszko – „Ludobójstwo”, Wyd. Von Borowiecki, Warszawa, 2000 r.
17. Praca zbiorowa *Nasz Kresowy Dom*. Nakładem Koła Środowiskowego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Zbąszynku. Druk „Poligmar” Zielona Góra 2000.
18. Władysław Kubów – „Terroryzm na Podolu”, Wyd. Archidiecezji Warszawskiej, Warszawa 2003.
19. Henryk Komański, Szczepan Siekierka „LUDOBÓJSTWO dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie Tarnopolskim w latach 1939-1946”, Wyd. Nortom, Wrocław 2004 r.
20. Ks. Sadok Barącz „Wiadomość o Klasztorze WW. OO. Dominikanów w Podkamieniu”, Wyd. Tarnopol. Drukiem Józefa Pawłowskiego rok 1864.
21. Józef Tarniowy i zespół „PIĘKNO PODOLA ziemia i ludzie tradycje i kultury”, Wydawca: Koło Tarnopolan PTTK Żary, 2004 r.

Spis treści

Słowo wstępne	3
Ojczyzna Wolna	9
Urszulin	12
Koniec mojego szczęśliwego świata	21
Agresja sowiecka	24
Klęska Armii Czerwonej	40
Następny okupant – Niemcy	42
Fortyfikacja obronna	53
Napad na dom Kierepków, rodziców mojej mamy	61
Zbrodnia czai się pod naszym domem	63
Hucisko Brodzkie przestaje istnieć	67
Zagłada Huty Pieniackiej	76
Pogrom polskiej ludności w Podkamieniu	94
Ratujemy wartość największą – życie	102
Po latach	109
Ilustracje	116
Załącznik 1	122
Załącznik 2	123
Załącznik 3	138
Bibliografia	161
Mapa okolic Urszulina	

Trasa na Brody

ZAŚCIANEK SZLACHECKI
HUCISKO BRODZKIE

SKALA 1:65 000



LEGENDA:

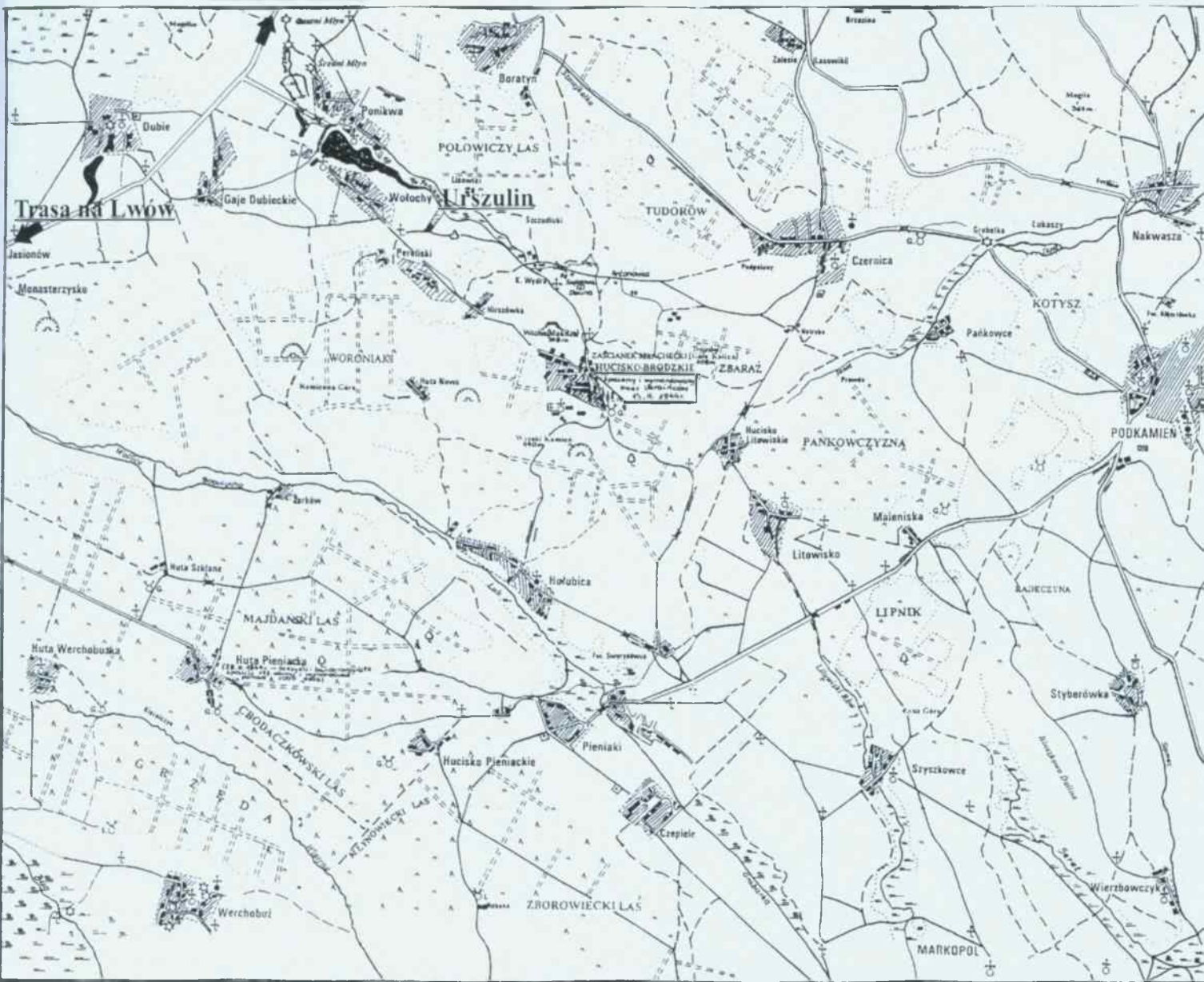
- ===== Szosa I-jej klasy
- ===== Szosa II-jej klasy
- Trakt
- Droga polna
- Drożyna
- Ścieżka
- Droga zimowa

- + Krzyż lub figura religijna
- ☩ Kościół
- Kościół z daleka widoczny
- ☪ Gajówka
- Mogiła (grób)
- ☐ Cmentarz
- ☆ Miła wodny
- ☪ Jaskinia
- ☉ Poczta

D- Dwór: pałac hrabiów Bochotskich
Kl. - klasztor w czasie Bitwy pod
Złoczowem (między Rosjanami a
Austriakami) pełnił funkcję lazaretu.
Przeżył w nim austriacki żołnierz
kapral Adolf Huter.

OPRACOWANIE:

Mapy:
1924 1:100 000
1939 1:100 000





Sulimir Stanisław Żuk urodził się w Warszawie. Druga wojna światowa zastała go na Podolu. Tam jako dziecko przeżył okupację bolszewicką i niemiecką oraz ludobójstwo ukraińskich terrorystów dokonane na bezbronnej ludności polskiej. Wgnany wraz z rodziną z ziemi swych przodków dotarł do Warszawy w kwietniu 1944 roku. W

Warszawie przeżył Powstanie Warszawskie. Po wojnie w Warszawie ukończył wyższe studia techniczne. W Warszawskiej Fabryce Pomp w ciągu dwudziestu lat pracy pełnił funkcje kierownicze, między innymi Głównego Technologa i Dyrektora ds. Produkcji. Za pracę społeczną został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi. W Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie na Wydziale Handlu Zagranicznego ukończył Studium Eksportu Budownictwa. W Centrali Handlu Zagranicznego „BUDIMEX” w Warszawie na przestrzeni dwudziestu lat pracy pełnił szereg funkcji kierowniczych. Między innymi pełnomocnika do spraw finansowych w Czechosłowacji, Dyrektora Biura na rynki Czechosłowacji i Bułgarii oraz Dyrektora Delegatury „BUDIMEX” w Sofii w Bułgarii. Wyróżniony szeregiem odznaczeń za zasługi w budownictwie i handlu zagranicznym. Po przejściu na emeryturę jego pasją stała się burzliwa historia Drugiej Wojny Światowej a szczególnie Kresów Wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej.